



**kult
pozorów 4**



**siedem
hektarów
azylu 6-7**



**stało się:
żyje 8-9**



**nieporządki
w guberni 11**

**zemsta
za rów
graniczny 13**

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

8

(35)

KONTAKTY

1 III 1981

Cena 4 zł



Fot. GABOR LÖRINCZY

POLSKI DYLEMAT — NADZIEJE I ZWĄTPIENIA

konserwatywni rewolucjoniści

Stanisław Gucwa

MARSZAŁEK SEJMU PRL
PREZES NK ZSL

Kontynuujemy naszą ogólnopolską ankietę „Polski dylemat — nadzieje i zwątpienia”, w której osobistymi refleksjami dzielą się politycy, twórcy, naukowcy, działacze gospodarczy. Ich wypowiedzi powinny ułatwić ocenę dokonujących się w kraju przemian — nikomu z nas nie obojętnych.

ZWIERZENIA SOCJOLOGA

życie w kropli

LECH GIZELBACH

Zambrow jest jego rodzinnym miastem. Wracił więc, po ukończeniu socjologii na Uniwersytecie Warszawskim, na stare śmiecie. Praca na stanowisku socjologa — podjęta w grudniu 1978 roku w Zambrowskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego — była pierwszą etatową pracą. Marek Rutkowski, jak chyba wszyscy w takich momentach, miał wielkie plany, marzenia i wyobrażenia, ukształtowane pod wpływem lektur i uniwersyteckich wykładów. Czego to on nie zrobi jako socjolog! Później było tak, jak być powinno: szaro, nudno, wściewie...

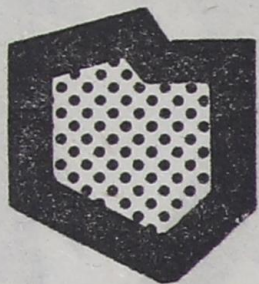
— Dzień dłużył się okrutnie. Ileż to musiałem się nagimnastykować, żeby znaleźć jakieś zajęcie. Moim podstawowym obowiązkiem było prowadzenie zeszytu fluktuacji kadry. Mogłem jeszcze robić ankiety, ale broń Boże o nastrojach w zakładzie, o tym, co robotnik myśli! Bo kto wtedy traktował robotnika jako istotę myślącą, czującą, żyjącą? Był pomocnikiem maszyny, i tak należało go traktować. I na nic tu Max Weber, Morawski, prof. Szczepański, Marks. Na nic piękne teorie. Ich miejsce w opastych tomiskach, przewalanych przez studentów. A tu twarda robota, nie katedra filozofii, i basta. Próbowałem nawet kiedyś wejść do dyrektora. Przyjął mnie owszem, ale w obecności specjalisty od spraw pracowniczych. Okazało się, że nie mówimy tym samym językiem.

Prowadziłem dla mistrzów wykłady z socjologii pracy. Analizowaliśmy naszą gospodarkę. Wnioski nasuwały się smutne: podmiotowość klasy robotniczej — wielka fikcja. Ekonomia w Polsce nie rządzi prawami ekonomicznymi — śmieszny paradoks, ale w praktyce znacznie mniej wesoły. Inny nonsens: istnienie dublujących się i wzajemnie sobie przeszkadzających ośrodków decyzyjnych.

CIĄG DALSZY NA STR 6

Ze świata

W KREMLOWSKIM Pałacu Zjazdów trwają obrady XXVI Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, zrzeszającej siedemnaście milionów komunistów. Uczestniczy w nim blisko 5 tys. delegatów, a także 123 delegacje zagraniczne. Polskiej — przewodniczący I sekretarz KC PZPR, Stanisław Kania. Referat sprawozdawczy wygłosił sekretarz generalny KC KPZR, Leonid Breżniew. O głównych kierunkach rozwoju gospodarczego i społecznego na lata 1981—1985 i do roku 1990 mówił natomiast premier ZSRR, Nikołaj Tichonow.



NA POSIEDZENIU Komisji Zjazdowej zgłoszono liczne uwagi i propozycje, które mają być uwzględnione w projekcie założeń programowych na IX Zjazd PZPR. Dotyczą one: źródeł i charakteru kryzysu; przewodniej roli PZPR, nowych stosunków w partii i jej działalności ideologicznej; rozwoju socjalistycznej demokracji i samorządności oraz umocnienia praworządności; roli i problemów młodego pokolenia; realizacji polityki społecznej; reformy ekonomicznej, 3-letniego programu stabilizacji gospodarczej oraz kierunków rozwoju kraju w obecnym 5-leciu; gospodarki żywnościowej oraz kierunków polityki rolnej; zadań w dziedzinie rozwoju potencjału intelektualnego i życia umysłowego kraju; kierunków działalności międzynarodowej PZPR i polskiej polityki zagranicznej.

„NIE MOŻE BYĆ dalej tak, jak było, że tylko niespełna 10 proc. pracowników aparatu partyjnego pracowało przedtem w jakimś zawodzie — mówi w wywiadzie udzielonym „Życiu Warszawy” (nr 39) Jerzy Trześniewski, przewodniczący Zakładowej Komisji Zjazdowej KF PZPR w Hucie „Warszawa”. — Tu nie wystarcza dyplom uczelni, potrzebne jest doświadczenie zawodowe i partyjne. Pracownik aparatu to nie zawód, ale funkcja, na którą okresowo powinna delegować człowieka organizacja partyjna.”

„WYDAJE SIĘ — powiedział rzecznik prasowy NSZZ „Solidarność” — że zmiany oznaczają istotne wzmocnienie rządu w naszym sy-



JAK ZASPOKOIĆ najpilniejsze potrzeby społeczne? Odpowiedź na to pytanie sprecyzowała Egzekutywa Komitetu Wojewódzkiego. Przyjęty harmonogram działań wychodzi na przeciw oczekiwaniom i postulatam mieszkańców. Przewiduje m.in.: przekazanie w listopadzie br. drugiego stopnia ujęcia i stacji uzdatniania wody w Łomży; oddanie do użytku na końcu marca studni awaryjnej ze stacjami uzdatniania wody w łomżyńskim osiedlu Jantar, a do końca lipca — w Kolnie, oraz włączenie we wrześniu magistrali wodociągowej do sieci miejskiej w Grajewie, przedszkole w Łomży, rozpoczęcie się budowę przychodni zdrowia na osiedlu Jantar, przekazany zostanie hotel dla pielęgniarek w Grajewie. O 270 miejsc wzmocnienie liczba miejsc w przedszkolach. Ponadto do końca kwietnia podjęta zostanie decyzja o przekazaniu łomżyńskiej służbie zdrowia innych obiektów.

PROGRAM działania Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w łomżyńskim ustalili II Wojewódzki Zjazd Delegatów, na którym wybrano również nowy Zarząd Wojewódzki PTTK. Jego prezesem został Tadeusz Deptuła. (Wypowiedź nowo wybranego prezesa zamieścimy w jednym z najbliższych numerów „Kontaktów”).

Z OKAZJI 35 rocznicy utworzenia

JUŻ W NAJBLIŻSZY PIĄTEK (27 II)
ŁOMŻA JAK NA DŁONI
WSZYSCY PYTAMY — WŁADZE MIEJSKIE ODPOWIADAJĄ

Jeśli coś w Łomży drażni cię lub ciekawi — otrzymasz odpowiedź z pierwszej ręki! Przyjdź w piątek (27 II) o godzinie 16.00 do świetlicy Cechu Rzemieślników (ul. Giełczyńska), gdzie odbędzie się publiczna rozmowa Czytelników i dziennikarzy z władzami Łomży, rozpoczynająca nasz cykl wywiadów z gospodarzami miast i gmin. Wszystkie pytania dozwolone! Chodź o rozpoznanie najważniejszych kwestii życia zbiorowego, kłopotów codziennych mieszkańców oraz lokalnych odmian odnowy społecznej. Jeżeli nie możesz jutro — odezwij się dziś (czwartek 20 II), przekaż swoje pytania telefonicznie (dyżurujemy od godz. 8.00 do 12.00; tel. 40-22).

stemie władzy. Nie chcemy władzy słabej, po pierwsze dlatego, że jest to niebezpieczne dla kraju, po drugie zaś dlatego, że władza taka nie może być dla społeczeństwa w arygodnym partnerem, który realizowałby prozumiem. Nie jesteśmy też drugą władzą. Chcemy być natomiast znanym i szanowanym partnerem społecznym. Jest to jedyna droga wyjścia z kryzysu.”

„MAMY NADZIEJĘ — stwierdził natomiast Stanisław Cieniuch, sekretarz Komisji Porozumiewawczej Branżowych Związków Zawodowych — że w sposób zdecydowany zostanie wyeliminowana niedopuszczalna, biurokratyczna tendencja do gabinetowego załatwiania spraw z jednym czy drugim przywódcą związkowym. Uważamy, że poglądy działaczy czy ekspertów nie mogą przesądzać decyzji. Liczyć się powinna opinia wszystkich członków związku. Trzeba też unikać manipulacji nastrojami. Środki masowego przekazu nie mogą stwarzać np. magicznej wiary w możliwości nowego rządu czy samego premiera”. Wywiady z obu działaczami związkowymi opublikowano w nr 28 „Życia Warszawy”.

NA SZEFA Urzędu Rady Ministrów powołany został gen. brygady dr Michał Janiszewski.

UCHWAŁA Rady Ministrów zatrzymano realizację 49 inwestycji. W pierwszej kolejności — budowy o małym stopniu zaawansowania prac oraz te, z których efekty mogą być uzyskane dopiero za kilka lat.

UZGODNIONO ostateczną wersję zasad podziału reglementowanych artykułów żywnościowych. Po pierwszych 3 miesiącach „okresu próbnego” system kartkowy ma być ponownie poddany pod dyskusję.

PODPISANO także porozumienie między komisją rządową a komitetem strajkowym w Rzeszowie, kończąc wielodniowe rozmowy na temat wysuwanych przez rolników postulatów, obejmujących całokształt problemów rolnictwa i społeczność

wiejskiej. Jedno z najważniejszych ustaleń dotyczy uznania za celowe ustawowego wzmocnienia gwarancji nienaruszalności własności chłopskiej, zwłaszcza prawa do jej dziedziczenia, oraz uznania indywidualnych gospodarstw za trwałe, równoprawny element naszej gospodarki narodowej.

USTALONO JUŻ terminy roboczych sobót dla admini. t. acji: 28 lutego, 28 marca, 25 kwietnia, 30 maja, 29 czerwca, 25 lipca, 2 sierpnia, 19 września, 17 października, 14 listopada, 12 grudnia.

PO DWUDZIESTU OŚMIU dniach podpisaniem porozumienia zakończył się strajk studentów łódzkich. Dokonano także rejestracji Niezależnego Zrzeszenia Studentów.

700 MILIARDÓW złotych powinna wynosić wartość tegorocznych dostaw żywności, by pokryć siłę nabywczą ludności — ocenia Ministerstwo Handlu Wewnętrznego i Usług. Plan określił je na 555 mld złotych — luka zaopatrzeniowa wynosi więc 145 mld zł. Jednak z wyjątkiem masła, mięsa, cukru i ryb, dostawy pozostałych artykułów spożywczych będą wyższe niż w latach poprzednich. Wiadomo, że znaczna ich część musi być zakupiona za granicą.

POD WZGLĘDEM ilości wydobyczonego węgla, przypadającej na jednego mieszkańca, byliśmy jeszcze do niedawna w światowej czołówce. Okazuje się jednak — co wynika z badań NIK-u, że osiągnęliśmy ten wskaźnik tylko w statystyce. Odkryto metody jej fałszowania zrelacjonował „Interpress” (przedruk w nr 36 „Gazety Współczesnej”).

SREBRNE SZPILKI dla naszych stałych współpracowników — Andrzeja Podulki i Jacka Urbańskiego — przyniósł jury konkursu Złotej Szpilki 1980! Gratulujemy!

ZMARŁA (w wieku lat 76) Janina Broniewska — znana pisarka i działaczka społeczna, publicystka i reporterka, autorka książek dla dzieci i młodzieży.

Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej odbyło się w Łomży uroczyste, połączone z wręczeniem sztandaru miejskiej organizacji ORMO w Łomży, spotkanie zasłużonych ormowców z władzami wojewódzkimi. Cztery osoby otrzymały Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski: Dionizy Antkowiak, Henryk Bagiński, Kazimierz Dziekoński i Marian Jakubowski.

W MUZEUM ROLNICTWA w Ciechanowie otwarto Izbę Pamięci Narodowej, która ukazuje dzieje walki o utrwalenie władzy ludowej w okolicach Wysokiego Mazowieckiego.

TOWARY wartości ponad 50 mln złotych zaferowali rzemieślnicy Łomżyńskiego, Suwalskiego i Białostockiego na giełdzie w Łomży. P. ze wszystkich: wyroby branży metalowej i z serii 1001 drobiazgów, a także drzewnej, chemicznej, ceramicznej. Celem giełdy było ukazanie jednostkom handlowym możliwości produkcyjnych rzemiosła i odwrotnie — zaprezentowanie potrzeb handlu na wyroby, które ich brak odczuwają klienci, jak np. wiodowe wiertła, strugi stolarskie, a nawet widły.

UCHWAŁA sesji Miejsko-Gminnej Rady Narodowej w Grajewie wstrzymano rozruch nowo wybudowanego Zakładu Mleczarskiego w tym mieście. Ta, jedna z największych w kraju mleczarnia ma przerabiać dziennie około 500 tys. litrów mleka i odprowadzać jednocześnie 1500 metrów sześciennych ścieków. Zaproponowane rozwiązanie — korzystania z miejskiej oczyszczalni aż do momentu zakończenia budowy zakładowej oczyszczalni (co nastąpić ma za 2—3 lata) — napotkało na

zdecydowany sprzeciw nie tylko radnych. „Podejmowanie ryzykownych decyzji, bez jakiegokolwiek informacji i konsultacji społecznej — napisali np. działacze ochrony przyrody z NSZZ „Solidarność” oraz grajewskiego PTTK w liście do władz i redakcji — jest odczuwane jako ignorowanie czynnika społecznego.” Wkrótce na naszych łamach opublikujemy obszerny artykuł na temat grajewskiej mleczarni.

ZNANY JEST już rozdziałek na I kwartał br. Łomżyńskie otrzyma: 465 ciągników, 100 rozstrząsaczy do obronika, 700 parników węglowych, 300 elektrycznych. Poprawi się zaopatrzenie w nawozy. Będzie ich więcej: azotowych o 1255, fosforowych o 7000, a potasowych o 6350 ton.

I TURNIEJ tenisa stołowego o puchar „Kontaktów” rozstrzygnięty! Zdobyła go Szkoła Podstawowa nr 6 w Łomży. Dalsze miejsca zajęły: SP nr 2 w Kolnie, ZSG w Szepietowie, SP nr 2 w Łomży i ZSG w Zarębach Kościelnych. Relację oraz szczegółowe wyniki turnieju zamieścimy w następnym numerze.

W PLEBISCYCIE „Gazety Współczesnej” i Wojewódzkiej Federacji Sportu w Łomży na najlepszego sportowca woj. łomżyńskiego zwyciężyła tenisistka ŁKS-u Hanna Brzóska. Kolejne lokaty: Arkadiusz Bojarowski — podnoszenie ciężarów, Leszek Zazulin — piłka siatkowa, Joanna Znońska — lekkoatletyka, Krzysztof Just — zapasy.

W 7 nr. „Kontaktów” zamiast dwóch zapowiedzianych na pierwszej stronie artykułów, ukazały się teksty zastępcze.

dwa tygodni
ekonomikiDekalog
generała

Sejmowe wystąpienie generała-premiera odbiło się szerokim echem nie tylko w kraju. Dodało ducha, nadziei. Bo siła władzy, to oznaka siły państwa — budzi respekt i szacunek, zachęca (a nie zniechęca) do działania. Nie o intencje i ton zresztą chodzi. Rząd jest władzą wykonawczą i z tych jego funkcji wynikają określone powinności — konieczność rozwiązywania trudnych spraw dnia codziennego z myślą o przyszłości.

Taki pakiet spraw do załatwienia został ujęty przez premiera Jaruzelskiego w dziesięciopunktowym programie. Warto zastanowić się nad tym „generalskim dekalogiem”, który zdumiewa na pozór prostotą, a jednocześnie wskazuje na ogrom zadań. Bo po pierwsze: rząd uznaje za niezbędne zaopatrzenie ludności w podstawowe artykuły — przede wszystkim w żywność, i zapewnienie sprawiedliwego rozdziału dóbr deficytowych. Rzecz zdawałoby się oczywista. Tak, ale nie w warunkach głębokiego kryzysu jaki przeżywamy, rozregulowania wszelkich trybów gospodarki, załamania produkcji, spadku jej bezwzględnych rozmiarów. A ponieważ o żywność chodzi, ten punkt pierwszy trzeba traktować łącznie z szóstym, w którym się mówi o zahamowaniu spadkowych tendencji w produkcji rolnej, odpowiednim zaopatrzeniu rolnictwa, o lepszym wykorzystaniu ziemi.

Proste, oczywiste sformułowania, a jakże trudne w realizacji. Zastanówmy się, ile niezbędnych działań musi podjąć rząd, aby zrealizować te dwa, nieodłączne z sobą cele. Przede wszystkim, żywności na dziś nie mamy. Nie wglądając się w przyczyny (a są nimi poważne błędy w polityce rolnej, i zła pogoda) musimy na przednówku wydatkować bardzo poważne środki dewizowe na import masła, olejów, i innych produktów, których po prostu zabrakło. Ten import, to dalsze zadłużenie kraju, to szukanie — wcale nie łatwe — nowych kredytów.

A z kolei spełnienie obietnic pod adresem rolnictwa. Nie wnikam tu w konieczną zmianę atmosfery polityczno-społecznej na wsi, na co rzutować będzie głównie odrodzenie samorządności chłopskiej. Chodzi o bardziej przyziemne sprawy: o widły, plugi, ogumienie do traktorów, nawozy sztuczne i środki ochrony roślin. Tego wszystkiego premier i jego rząd cudownie nie rozmnoży — to trzeba wyprodukować, zmienić priorytety dla przemysłów. A że i tego z dnia na dzień się nie zrobi, i w tym względzie trzeba sięgnąć do rządu zagraniczną pomoc innych krajów socjalistycznych, a także po zakupy za waluty wymienialne.

Skoncentrowałem się tylko na dwóch punktach rządowego pakietu spraw do załatwienia. Ale już z tego krótkiego przeglądu widać, iż realizacja „dekalogu” nie będzie łatwa. Widać przede wszystkim, że rząd może jedynie stwarzać warunki do spełnienia tych zapowiedzi. Nad ich urzeczywistnieniem będziemy musieli popracować wszyscy. I to solidnie.

JERZY BIELECKI

polski dylemat

3
KONTAKTY
1 III 1981

konserwatywni rewolucjoniści

STANISŁAW GUCWA

MARSZAŁEK SEJMU PRL
PREZES NK ZSL



Pytania postawione przez redakcję zainspirowały mnie do trojakiego rodzaju refleksji. Jako Polaka niepokoi mnie — podobnie jak wielu rodaków — znaczna niestabilność sytuacji społecznej i politycznej w kraju. Wynika ona z powodów nie do końca jasnych dla ogółu obywateli. Mieszają się wśród nich sprawy ważne i drugoplanowe, wielkie i małe. Rodzi się obawa, że to, co było naszym wspólnym, wielkim zwycięstwem — zwycięstwem rozumu i rozważliwej emocjami i zniecierpliwieniem, może się przekształcić w naszą porażkę. Wierzę głęboko, że tak się nie stanie. Wierzę, że po okresie nerwowych zmagani zrozumiemy, iż los Polski i nasz własny zależy od tego, czy potrafimy sformułować trafne diagnozy i trafne drogi wyjścia z istniejącego kryzysu.

Diagnozy takiej, a więc sposobów oraz dróg wyjścia, nie proponowały podpisane dotychczas porozumienia. Stąd też nawet pełna ich realizacja — do czego należy, oczywiście, dążyć — nie gwarantuje rozwiązania wszystkich problemów. Nadmierna koncentracja uwagi na tych porozumieniach może prowadzić do przesuwania na drugi plan tego, co powinno być głównym przedmiotem pracy intelektualnej ludzi skupionych wokół wszystkich, liczących się sił społecznych i politycznych, w tym także „Solidarności” — pracy nad koncepcją wyjścia z kryzysu.

Jako działacz polityczny wnikliwie obserwuję to wszystko, co w wyniku porozumień sierpniowych wydarzyło się w życiu politycznym naszego kraju. Nie ulega dla nikogo wątpliwości, że układ sił politycznych jest dziś w wielu istotnych punktach różny od stanu sprzed sierpnia. Powstaje jednak pytanie: czy zmiany te okażą się zbawienne dla kraju i narodu, czy też staną się źródłem jego dodatkowych niebezpieczeństw? Pytanie takie może wielu oburzać. Wszak zmiany, jakie zaszły, były reakcją na wcześniejsze niedostatki. Tego nie można podważyć. Powstaje jednak pytanie, czy wybraliśmy właściwy środek leczniczy? Czy dawujemy go w odpowiednich ilościach? Czy jednych błędów nie zastępujemy innymi? Pytania te muszą w tej chwili pozostać bez odpowiedzi. Trzeba jednak pamiętać, że mądrość polityczną posiadają ci, którzy potrafią przewidywać przebieg wydarzeń. Nie jest to, niestety, mocną stroną Polaków. To my sami mówimy o sobie, że jesteśmy mądrzy, ale dopiero po szkodzi. Niepokoi mnie skłonność nowej formacji działaczy związkowych do natychmiastowego sprawdzania i demonstrowania siły swoich wpływów. Wpływy te są w tej chwili znaczne. Czy jednak wykorzystuje się je we właściwym celu? Czy w naszym wspólnym interesie leży ostentacyjne demonstrowanie ich rozmiarów? Często tak bywało, że organizacje programowo stroniące od życia politycznego wywierały na nie ogromny wpływ przez sam fakt swego istnienia i prezentowanie własnego programu. Obecnie, po okresie pierwszych uzasadnionych nadziei, związanych z odnową naszego życia i demokratyzacją systemu społecznego, powstały warunki włączenia całego społeczeństwa do procesu rzeczywistego ludowładztwa.

Jednakże na paradoks zakrawa fakt, że właśnie w bieżącym okresie nadzieje te zostały zasadniczo podważone. Jest to wynik pogłębiania się destabilizacji życia społecznego i gospodarczego, zakłócającego odnowę; destabilizacji znamionującej się niepokojami społecznymi i strajkami. W konsekwencji możliwości realizacji odnowy są mniej wiarygodne, zaś cały kraj ponosi w wyniku tego wielkie straty, a państwo ubożeje. Szczególnie niepokoi fakt, że opinia światowa formuluje pod naszym adresem zarzuty wobec władz,

że nie radzą sobie z niepokojami, a wobec społeczeństwa, że nie umie zorganizować swego życia i nie zawsze liczy się z konsekwencjami swego postępowania. W ten sposób tracimy kapitał życzliwości do naszego kraju i narodu. Śledząc prasę zagraniczną, zarówno państw zachodnich, jak i krajów socjalistycznych, z rosnącym niepokojem można konstatować spadek szacunku dla mądrości politycznej naszego narodu.

Ponosimy więc straty nie tylko ekonomiczne i społeczne, ale również w opinii innych państw i narodów. Nadszedł najwyższy czas, abyśmy wspólnie — na drodze pojednania, kompromisów i trwałej niezakłóconej współpracy — otrząsnęli się z bezwładu, demagogii, pomówień oraz działań destrukcyjnych, godzących z każdym dniem w strukturę władzy i organizacji społecznych. Nasz wewnętrzny polski dialog powinien być dialogiem mądrym i odpowiedzialnym, zwróconym myślą przede wszystkim na to, co przed nami. Powinniśmy twórczo dyskusja nad funkcjonowaniem demokracji socjalistycznej, systemu społecznego i gospodarczego, opanowaniem trudności i niedopuszczeniem na przyszłość do błędów i wypaczeń.

Punktem wyjścia tego dialogu powinna być aktualna rzeczywistość i zrozumienie, na co nas, jako naród, stać obecnie. Dlatego trzeba wyraźnie powiedzieć, co możemy, a czego nie. Konieczne jest więc zarówno określenie granicy rewindykacji, jak i realizacji różnych postulatów, przy jednoczesnym umacnianiu funkcjonowania struktur społecznych, a nie osłabieniu ich.

Polska jest aktualnie poważnie zadłużona zarówno wobec państw zachodnich, jak i socjalistycznych. Nasi wierzyciele muszą żywić przekonanie, że chcemy wyjść ze swych trudności, spłacić zobowiązania. Mu-

szą być przeświadczeni, że wszystkie nasze wewnętrzne działania zbliżają nas do tego celu. Będzie tak, jeśli uwolnimy się od emocji i działań podważających strukturę naszego państwa. W przeciwnym razie możemy ponieść wspólną klęskę. Historia ruchu ludowego pokazuje, że nasz wpływ na życie polityczne i gospodarcze kraju zmienia się w tym samym rytmie, w jakim zmienia cały kraj. Raz jesteśmy widoczni bardziej, innym razem mniej. Zawsze jednak cechuje nas dążność do wspierania wszelkimi możliwymi działaniami i środkami pozycji oraz sprawności państwa. Polska, państwową rację stanu uważamy za sprawę nadrzędną.

Sformułowaliśmy własny program demokratycznej odnowy życia społecznego na VIII Kongresie ZSL. Jest to również program pozytywnych stosunków między siłami politycznymi i społecznymi, program wychodzenia z trudności gospodarczych. Uznaliśmy, że podstawową sprawą jest wychodzenie z trudności w rolnictwie, co dobitnie odzwierciedlają wspólne wytyczne Biura Politycznego KC PZPR i Prezydium NK ZSL w kwestii węzłowych problemów polityki rolnej, rolnictwa i gospodarki żywnościowej.

Jest to program realny i możliwy do realizacji, jednakże pod warunkiem, że przystąpimy do rzeczowego dialogu bez konfrontacji i demonstracji. Nie chcemy walki politycznej, którą przez tyle lat ruch ludowy musiał prowadzić. Najczęściej był on atakowany przez ugrupowania prawicowe, obecnie również głównie siły prawicowe obracają się przeciw nam. Nie chcielibyśmy, aby historia miała się powtórzyć, aby istniało poważne zagrożenie ze strony prawicy społecznej. Mówiąc „nam” — mam na myśli nie tylko ruch ludowy, ale także nasze państwo, którego spokojny byt mógłby być w konsekwencji zagrożony.

Trzeba wyraźnie stwierdzić, że to,

co w przeszłości wydawało się postępowe i rewolucyjne, w obecnej sytuacji, ze względu na określone jej uwarunkowania, może przerodzić się w działania prawicowe. Dlatego powinniśmy ściślej zewrzeć szeregi wszystkich sił społecznych i politycznych, stojących na gruncie socjalizmu; sił, które chcą procesu odnowy, przystąpiły do jego realizacji i przeciwstawiają się anarchizowaniu naszego życia.

Sądzę więc, że miarą politycznego sukcesu i żywności organizacji społecznej czy politycznej nie może być liczba przeprowadzonych akcji czy liczba zgromadzonych członków. Miarą tą może być i powinno być to, czy jest ona skarbnicą własnych, odrębnych wartości. Czy stanowi ona płaszczyznę działania dla ludzi o szczególnych, cennych dla narodu i kraju, wartościach. Czy przechowuje te wartości w długim okresie. Z tych względów tak ogromnie cenimy w naszej organizacji historię narodu. Nie jest to forma ucieczki od współczesności. Wynika z wiary, że siła naszych poprzedników jest także naszą siłą, a naszym obowiązkiem jest tworzyć podwaliny dla siły naszych następców.

Jako działacza gospodarczego ciężko mi, że dokumentujący się przełom stwarza szansę dla zasadniczych zmian w polityce gospodarczej. Na temat tej dziedziny polityki wypowiadałem się wielokrotnie. Jej podstawowy błąd polegał na tym, że zbyt długo podporządkowana była celom i zadaniom słuźnym, ale tylko na początku naszej powojennej drogi. Zbyt długo wierzyliśmy, że o potęgę państwa świadczy liczba hut i ilość wytopionej stali, ilość wydobytego węgla czy wyprodukowanych maszyn. Wydawało się, że maksymalizacja ilościowych wskaźników wzrostu produkcji doprowadzi do zasadniczych zmian w poziomie życia społeczeństwa. Dziś wiemy, że takie mniemania były błędne. Wiemy dziś, że zbudowaliśmy ogromny przemysł, a rolnicy nie mają prostych narzędzi; zbudowaliśmy wiele fabryk, a przed sklepami stoją kolejki. Brakuje wciąż podstawowych artykułów. Wiemy dziś wszyscy, że ten stan trzeba zmienić. Ta powszechna świadomość rodzi nadzieje. Ale jednocześnie nie można nie wspominać o obawach. Ich źródłem jest to, że dotychczasowa polityka doprowadziła nie tylko do ogromnych braków na rynku, doprowadziła także do bardzo niekorzystnych zmian w strukturze kwalifikacji, do dysproporcji w mocach przetwórczych. W rezultacie każdy z naszych obywateli, świadomie lub podświadomie, jest dziś i rewolucjonistą, i konserwatystą. Jesteśmy rewolucjonistami, gdy chcemy poprawy rynku, likwidacji kolejek, lepszego zaopatrzenia. Ale jesteśmy także konserwatystami, gdy okazuje się, że także my sami musimy zmienić nasze kwalifikacje, że trzeba przeprofilować nasz zakład, zmienić jego produkcję, dokonać redukcji zatrudnienia czy określonych przemieszczeń kadr. Wtedy zaciekle bronimy status quo. Nie należy się temu dziwić. Szeregowi pracownicy nie odpowiadają za profil produkcji w ich zakładach, a każda zmiana wymaga dodatkowych nakładów pracy, może się wiązać z obniżką zarobków itp. Ale jednocześnie nie może być nawet mowy o postępie bez takich zmian. Nie jest możliwe, by zmienił się cały kraj, a poszczególni obywatele pozostali dokładnie na tych samych miejscach. Czy jednak zrozumiemy tę nieuchronność? Czy potrafimy stworzyć takie mechanizmy, które zapewnają względną bezkonfliktowość tej operacji?

Moja nadzieja mówi, że tak, może zwątpienia — że nie. Chcę jednak i muszę być optymistą. Co okaże się słuszne? To jest dylemat. Dylemat Polski i każdego z nas.

punkt widzenia

nadzieje i zwątpienia



KONTAKTY
1 III 1981

Prof. dr hab. Stanisław Ehrlich z Uniwersytetu Warszawskiego zgłosił się nam udostępnić swój list, skierowany przed ponad rokiem do „Delegatów na VIII Zjazd PZPR” (pierwszą część opublikowaliśmy w numerze poprzednim). „W starciu opinii rodzi się prawda” — przypomina profesor stare przysłowie francuskie. Do Czytelników należy sprawdzenie przenikliwości spostrzeżeń, trafności analiz i diagnoz społecznych autora oraz ich użyteczności w trwającej właśnie dyskusji, poprzedzającej IX Nadzwyczajny Zjazd Partii.

Jak zapewnić funkcjonowanie konstytucji i innych politycznych zasad ustroju? Zaczniemy od zagadnienia składu centralnego ośrodka decyzji politycznej. Regulują go jedynie polityczne wstrząsy. Irracjonalna to sytuacja. Skład osobowy tego ośrodka powinny regulować powszechnie znane i funkcjonujące normy konstytucyjne i pokazonostytucyjne normy polityczne. Winny one wiązać cały system partyjny oraz aparat państwowy i być znane społeczeństwu. A więc mowa tu przede wszystkim o rotacji, czyli o wiążącym ograniczeniu czasowym mandatu w centralnym ośrodku decyzji politycznej. Temat ten uważany jest w aparacie partyjnym za drażliwy. Łatwo tu przewidzieć zarzut „powrotu do Chruszczowa”. Skojarzenie takie świadczyłoby o rozległej ignorancji. W istocie rzeczy chodzi bowiem o wskrzeszenie pewnych zasad formowania kierownictwa politycznego i jego zastępowalności. Ta zasada, ograniczająca czasowo możliwość podejmowania zwierzchnich decyzji, była znana i praktykowana nie tylko w różnych ustrojach państwowych, lecz również w międzynarodowym ruchu robotniczym. Bez wyraźnej normowanego i czasowo ograniczonego mandatu podejmowania centralnych decyzji nie może być demokracja. Jego brak pcha w kierunku woluntaryzmu w podejmowaniu decyzji, ugruntowuje tendencje autorytarne, które rodzą poczucie nieodpowiedzialności. Z kolei staje się to podłożem nielojalności i intryganctwa w kierownictwie i podległym aparacie, co wywołuje nieuchronny efekt demoralizujący, w szerszych kręgach społecznych.

Zasada ta łączy się z zagadnieniem faktycznej rewaloryzacji nadrzędnej pozycji wszystkich ciał przedstawicielskich, tzn. pochodzących z autentycznych wyborów. A więc będą to w pionach państwowych Sejm i rady narodowe, a w systemie partyjnym (w szczególności PZPR) — Zjazdy, konferencja krajowa. Dla większej jasności chcę zadać retoryczne pytanie: czy nigdy w tym kraju nie podejmowano decyzji Biura Politycznego — jednoosobowo? Czy nigdy nie zdarzyło się podjęcie jednoosobowej uchwały Rady Ministrów, o której jej członkowie dowiadawali się *ex post*, gdy już obowiązywała? Tu nasuwa się sugestia zmiany art. 31 statutu PZPR, który oddaje ustalanie zasad wyboru delegatów na konferencję krajową w ręce KC. Nie wydaje się to właściwe, skoro w okresie między zjazdami konferencja krajowa pełni funkcję najwyższej władzy partii. Fakt oddania w ręce KC inicjatywy zwołania konferencji („w razie potrzeby”) nie powinien być rozbudowany do tego stopnia, aby dawać możliwość manipulowania składem konferencji. Trzeba unikać wszystkiego, co podważałoby odpowiedzialność przed tym najwyższym w okresie między zjazdami — ciałem przedstawicielskim partii. Tym bardziej dotyczy to odpowiedzialności przed Zjazdem. W związkach zawodowych zasada nadrzędnej pozycji ciał przedstawicielskich winna również znaleźć praktyczne zastosowanie od góry do dołu, tj. do zakładów pracy. Właściwe ustalenie stosunku struktur zawodowych do partii powinna poprzedzić gruntowna analiza historii zagadnienia, a w szczególności — jeżeli chodzi o współczesność — doświadczenia fygosłowiańskiego, ze względu na jego unikalny charakter. Zasada ta winna znaleźć pełne zastosowanie w spółdzielczości i organizacjach społecznych, a w strukturze szkolnictwa państwowego winna być przywrócona w uniwersytetach. Rewaloryzacja taka oznaczałaby zerwanie ze złą tradycją fikcyjnego systemu

przedstawicielskiego, z niezwykle szkodliwym kultem pozorów.

Byłoby ze wszystkich miar celowe, aby przeobrażenia te uzupełnić taką instytucją demokracji bezpodległego aparatu państwowego, które — odpowiednio sformułowane — ma powszechnie znane walory mobilizujące.

Konsekwencją nadrzędnej pozycji ciał przedstawicielskich winna być jasno określona pozycja rządu. Później warunek ten — przynajmniej w świetle przepisów konstytucyjnych — jest spełniony. Natomiast to, co jest odmienne, nie sprzyja sprawnemu funkcjonowaniu rządu i jemu podległego aparatu państwowego. Ranga ministrów i zasady ich odpowiedzialności politycznej są bowiem tak zróżnicowane, że uniemożliwiają traktowanie Rady Ministrów jako jednokrotnego ciała kierowniczego, zdolnego do efektywnego koordynowania działalności i ministerstw, i innych podległych sobie organów. Uniemożliwiają nadawanie jednolitego i konsekwentnego kierunku ich pracy, czego należałoby oczekiwać zgodnie z brzmieniem art. 41 konstytucji. Nie jest to jednak możliwe w sytuacji, w której w składzie tego naczelnego organu administracji państwowej występują

Jak ma postąpić generalny dyrektor albo dyrektor departamentu, gdy wie, że np. w danej sprawie stanowisko wiceministra, któremu podlega, jest inne aniżeli kierownika wydziału KC, sprawującego „opiekę” nad jego resortem. W takiej albo podobnej sytuacji bardzo częstym wyjściem jest wędrowka decyzji w górę, do sekretarza KC, „po linii” państwowej lub partyjnej. Najlepiej jeszcze poradzi sobie dyrektor departamentu podlegający ministrowi, będącemu jednocześnie członkiem Biura Politycznego. Chyba że pozycja tego ostatniego w Biurze Politycznym uległa politycznej erozji.

Taki stan rzeczy sprawia, że naczelnym organem administracji państwowej nie tylko nie stanowi jednorodnego kolektywu, ale w dużej mierze jest w swoim zakresie decyzji skrepowany, przez co nie może nie oddziaływać w sposób dezorganizujący na cały aparat państwowy.

Zagadnienia te komplikują się jeszcze bardziej w pionie aparatu gospodarczego. Wszystkie te ujemne zjawiska są konsekwencją faktu, że tory przepływu informacji krzyżują się i nie są jednoznacznie wytyczone. Odnosi się to zwłaszcza do o-wych węzłów, w których przetwarza się informacje w decyzje. Wydłużone i krzyżujące się tory procesów

Jak okiełznać biurokrację

Jakie wyjście? Kierownictwo PZPR, a także kierownictwa wspomagających je partii sojusznicych, ZSL i SD, musiałyby zdecydować się na zrezygnowanie z tej postaci unii personalnej, która polega na połączeniu stanowisk rządowych z funkcjami w partyjnych kierownictwach. Umożliwiłoby to skoncentrowanie się na zagadnieniach strategicznych i politycznej kontroli samodzielnej, operatywnej działalności rządu. Powstała skutkiem tego rezerwa czasu umożliwiłaby lepsze wykorzystanie pracy ekspertów, przyspieszyłaby podejmowanie decyzji na szczeblu centralnym, poprawiłaby jakość procesu decyzyjnego.

Centralny ośrodek decyzji politycznej nie może oczywiście znaleźć się poza aparatem państwowym, ponieważ nie mógłby rozwiązywać kluczowych zadań, które przed nim stoją. Z punktu widzenia celowości, najodpowiedniejszym miejscem w aparacie państwowym dla członków kierownictwa politycznego jest Sejm i Rada Państwa. Tylko działalność w tych organach zwolniłaby członków kierownictwa od codziennej konieczności podejmowania drobnych decyzji, zwolniłaby od konieczności czasochłonnej, a organizacyjnie szkodliwej, ciągłej ingerencji w pracę aparatu wykonawczego. Norma polityczna, zawarta w statucie partii, mówi wyraźnie: „Komitet Centralny wybiera Biuro Polityczne — do kierowania pracą KC w okresie między posiedzeniami plenarnymi oraz Sekretariat — do kierowania pracą bieżącą głównie w dziedzinie organizowania kontroli wykonania uchwał partii i doboru kadry” (art. 33).

Poszła w zapomnienie również i inna norma polityczna. „Komitet Centralny powołuje odpowiednie wydziały, komisje oraz organy pomocnicze. Działalność ich powinna opierać się na zasadzie ścisłej współpracy etatowego aparatu partyjnego z szerokim gronem aktywów partii” (art. 35, który ma swój odpowiednik na szczeblu wojewódzkim w art. 44). Charakterystyczne są intencje tych sformułowań: wydziały i komisje są wymienione na jednej płaszczyźnie, niejako jednym tehem; powtórze, mowa tam o szerokim aktywie. A więc nie była to dyrektywa, pchająca w kierunku stąpienia biurokracji partyjnej z państwową. Trzeba przypomnieć, że w latach 1957—1958 w centrum i w województwach funkcjonowały owe — jak je wówczas nazywano, komisje problemowe. Wkrótce jednak zostały zdegradowane do poziomu dodatków do wydziałów KC i KW. Dla aparatu partyjnego komisje te były niewygodne, tym bardziej że funkcjonowanie ich wiązało się przez pewien czas z tendencją do liczebnej redukcji tego aparatu.

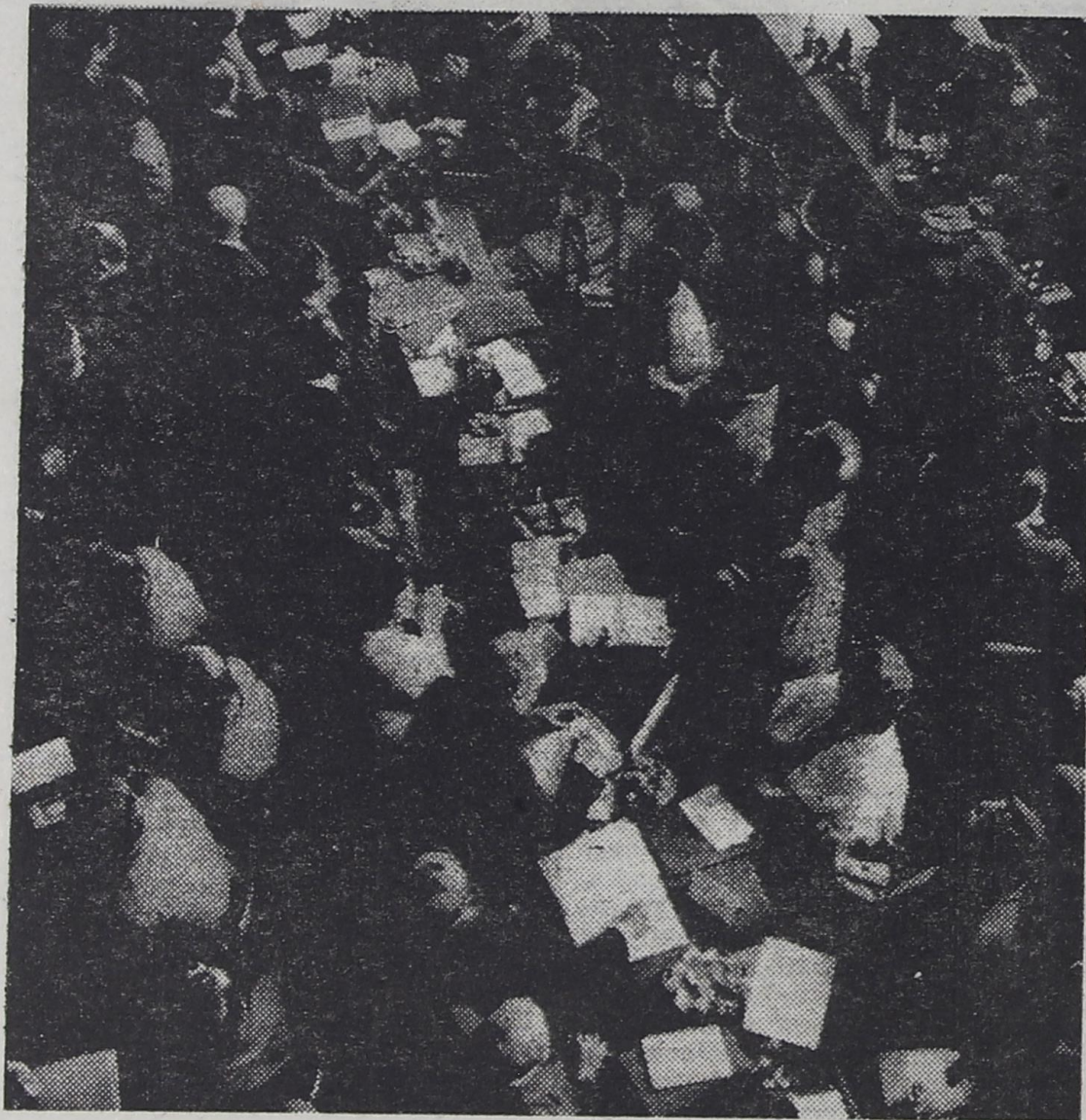
Co z tego wszystkiego zostało dzisiaj w naszej politycznej praktyce? Dzisiaj byłoby trudno wrócić do tego doświadczenia. Aparat partyjno-państwowy, rozrosłszy się niepomierne — ponad wszelkie rzeczowe potrzeby — zazdrośnie strzeże swoich przywilejów i atrybutów władzy. Toteż wiele dyskutuje się o zarządzaniu, bardzo mało natomiast o samorządzie. Zarząd ludzi... wypiera zarząd rzeczy.

A jednak nie ma innego wyjścia niż nawiązanie do przytoczonych norm politycznych i doświadczeń z nimi związanych. Ich niezbędnym dopełnieniem winno być uczciwe i skrupulatne przestrzeganie zasad demokracji wewnętrzzpartyjnej i odpowiedniego funkcjonowania zasad demokratycznych w sferze państwowej — zgodnie z założeniami konstytucyjnymi.

Biurokracja nie może kontrolować biurokracji. Okiełznać ją może tylko centralny ośrodek decyzji politycznej, który pozyskał zaufanie społeczeństwa. Dalej: współpraca ciał przedstawicielskich z niezależnymi organami kontroli, specjalnie powołanymi dla tego zadania, rozbudowane formy samorządu we wszystkich dziedzinach życia publicznego. Wszystko to wspomaganie przez krytykę ze strony opinii publicznej.

Prof. dr hab. STANISŁAW
EHRlich
Fot. GABOR LÖRINCZY

kult



pozorów

z ramienia PZPR ministrowie, będący członkami i zastępcami członków Biura Politycznego, w ramach których obowiązuje podobna hierarchia partyjna oraz bezpartyjni — nie zawsze działacze polityczni, częściej zaangażowani politycznie eksperci.

Wydaje mi się rzeczą oczywistą, że taka pstrokaczna pozycja i ról politycznych zaburza przejrzystą strukturę formalną, a co ważniejsze — prawidłowy sposób funkcjonowania Rady Ministrów. Do tego trzeba dodać praktykę stałej ingerencji Biura Politycznego w pracę rządu. Nie tylko prezes Rady Ministrów w tym właśnie charakterze składa najwyższemu ciału wykonawczemu partii sprawozdania i otrzymuje wiążące wskazówki, ale stają przed nim również poszczególni ministrowie, aby wyjaśnić i otrzymać wiążące zalecenia — poza ramami Rady Ministrów.

Ale przejdźmy na niższy szczebel.

informacyjno-decyzyjnych sprawiają, że występuje szereg ujemnych zjawisk, z których wymienimy cztery najważniejsze:

a) obniżenie jakości podjętych decyzji (czas stracony na uzgodnienia i przetargi trzeba następnie, w końcowej fazie podejmowania decyzji, nadrobić już pod presją wydarzeń),

b) z konieczności w tym systemie iluzoryczna staje się kontrola wykonania,

c) w konsekwencji musi być również spóźniona realizacja decyzji,

d) ustalenie odpowiedzialności ścisłej politycznej oraz prawnej staje się niezwykle utrudnione, co oczywiście musi demoralizująco wpływać na wykonawczy aparat partyjny i państwowy, który błędów strukturalno-organizacyjnych z odwołanej perspektywy nie może inaczej ujmować aniżeli jako bezradność osób wchodzących w skład kierownictwa.

Wiem, że opracowanie artykułu „Sądny dzień”, zamieszczonego w 1/81 nr. „Kontaktów” wymagało dużo pracy red. Zielińskiego, ale nie nie usprawiedliwia niedbalstwa i chaosu, jaki się w tym artykule przejawia. Po pierwsze — mając materiał negatywny w stosunku do mojej osoby, pełniący przez 6 lat funkcję I sekretarza POP w Zespole Opieki Zdrowotnej, powinien być znaleźć czas na rozmowę ze mną. Po drugie — powinien był umieścić w artykule moje wypowiedzi z rozmowy telefonicznej, którą z mną przeprowadził, wtedy tekst miałby inne zabarwienie. Po trzecie — artykuł „Sądny dzień” rozpoczyna się od epilogu, a pomija prolog sprawy, którym były zebrania załogi w dniu 10 i 28 X 1980 r. Po czwarte — w artykule są błędy merytoryczne i formalne, począwszy od zmiany imion lekarzy, miejscowości, daty zebrania finalnego, które faktycznie odbyło się 18 XI 80 r., aż do błędnego przedstawienia faktów.

Nie przesadzajmy z przegierzem. Za słuszne wyroczenia — zgoda — lanie. Jednakże nie róbcie ze mnie wroga nr 1, bo środowisko, w którym żyję, zna sprawę dobrze i zdania są podzielone.

Największą moją winą w całej tej sprawie było to, że ośmieliłam się wystąpić przeciw metodom zarządzania i kierowania Zespołem przez dyrektora naczelnego, traktowania ludzi i oceniania ich. Byłam do tego upoważniona i zobowiązana jako sekretarz POP. Opierałam się na faktach i prawdzie, do spraw podchodziłam obiektywnie. Nie było żadnych rozgrywek osobistych. Jeżeli każde słowo krytyki, uwagi pod swoim i czymś adresem będziemy traktowali jako rozgrywkę osobistą, do niczego nie dojdziemy.

Kultura polityczna nie pozwala na rozgrywki osobiste. Nie pozwala też na pisanie bzdur w artykule, choćby tej, że zagroziłam dr. Dąbrowskiemu utratą legitymacji partyjnej, podważałam jego wiedzę i kwalifikacje, oraz że dr Dąbrowski wrócił do nas z Ostrołki, bo dyrektor naczelną obiecał mu funkcję I sekretarza POP. Jak można takie zdania pisać i twierdzić, że to są moje słowa. Dr Dąbrowski wrócił do nas już po wyborach i bardzo dobrze, że wrócił.

Red. Zieliński stwierdza, że byłam zawiedziona tym, iż do władz wojewódzkich jeździły delegacje, były zbierane podpisy załogi pod petycją, poza Komisją Postulatową. Pewnie że tak. To po co my pracowaliśmy? Po to była powołana komisja, aby do niej kierować wszystkie wnioski i postulaty załogi.

Dalej red. Zieliński pisze: Krasowska wkroczyła do gabinetu dy-

moje jako członka partii i człowieka było słuszne. I nigdy nie będę potulnym członkiem partii. Myślę, oceniam, krytykuję, wnioskuję. Jakiego jednak grzmotu trzeba, aby obudzić innych. Tych, którzy po tym wielkim praniu, obietnicach i przyrzeczeniach, że od dziś wszystko będzie cacy, zrobili dr. Ryta bumentantem, mnie wicherzycielem i wszystkim co najgorsze, ponieważ chciałam „zmyć tego wspaniałego uparciucha dyrektora” dla celów korzyści rodzinnych.

W rozmowie z dyrektorem na temat wakatu pielęgniarki naczelną zapytałam, jak dyrektor widziałby kandydaturę mojej córki (pracuje szósty rok, ukończyła Studium Nauczycielskie Średnich Szkół Medycznych, obok położonej, jedyna pielęgniarka w ZOZ-ie, która ukończyła coś, co w niektórych resortach uważane jest za półwyższe wykształcenie). Odpowiedź była krótka — nie. Zazrałam do taryfikatora, dyrektor mówił prawdę, brak stażu lub wykształcenia. Za co więc miałam mścić się? Moje postępowanie zemdliło się na mnie, bo gdybym postępowała inaczej, znaleźlibyśmy furtkę awansowania córki i być może odznaczenia dla mamusi, a oboje z dyrektorem chodzilibyśmy ramię w ramię. Nie żałuję swojego postępowania mimo wielu przykrości, jakich ostatnio doznałam, i tak samo postępowałabym, gdyby można wrócić czas.

Legitymację partyjną złożyłam na drugi dzień po zebraniu w dn. 18 XI. 80 r., przebieg którego utwierdził mnie w przekonaniu, że ja do partii nie nadaję się. Uzasadnienie rezygnacji przesłałam do wszystkich instancji partyjnych. Reakcja była prawidłowa, satysfakcjonująca członka partii. Rozmowy prawdziwie partyjne. Jestem nadal członkiem partii. Wiem, że pracowałam właściwie, że decyzje administracyjne są słuszne, że odnowa to nie utopia, ale rzeczywistość, w której widzę zadanie partyjne dla siebie.

Jeszcze jedna sprawa, w której czuję się winna. Rezygnację ze stanowisk złożyli obaj dyrektorzy, Wojtkowski i Urbanek. Rezygnacji dr. Wojtkowskiego nie przyjęto, bo zorganizował sobie obronę pewniejszą niż linia Maginota. Dr Urbanek nie ma zacięcia strategicznego — rezygnację przyjęto bez słowa. Obowiązkiem moim było zadbać o to, aby dr Urbanek usłyszał przynajmniej słowo podziękowania za kilkunastoletnią pracę w administracji służby zdrowia. Tak dużo pomagał w pracy partyjnej jako dyrektor ds. lecznictwa. Wszyscy go lubili i szanowali. Powinnam była zwrócić się w tej sprawie do Sekretariatu KMiG. Usłyszałby słowo podziękowania za

dotychczasową pracę, tak jak ja usłyszałam na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym w dniu 9 I br.

Mam żal do red. Zielińskiego, że nie był dość skrupulatny przy zbieraniu materiałów do artykułu i przedstawił fakty w krzywym zwierciadle. Jest w przysłowiu: „Co napiszesz i siekierą nie wyrąbiesz”. Moi znajomi gotowi omijać mnie jak „morowe powietrze”, a ludzie, których kontroluję i z którymi współpracuję na odcinku sanitarno-epidemiologicznym, na mój widok mogą dostać zawału, bo nie może być nic gorszego niż spotkanie z podłym człowiekiem.

Wszystkich, którzy czytali ten artykuł, proszę, aby sięgnęli po niego po raz drugi i jego treść skonfrontowali z treścią rysunku Grzegorza Szumowskiego, którym redaktor graficzny, Irena Sielska opatrzyła artykuł red. Zielińskiego. Szanowna Pani Ireno! Zdaniem moim i moich przyjaciół zamieszczeniem tego rysunku przy artykule w naszym teście na inteligencję zwyciężyła Pani samą Irenę Dziedzic. Kląniemy się Pani i życzymy powodzenia.

BARBARA KRASOWSKA
Wysokie Mazowieckie

Przyznaję, wkradły się do reportażu „Sądny dzień” pewne niescisłości: nieprawdziwa data zebrania, w jednym miejscu — zmienione imię doktora Ryta. Bohaterów reportażu i Czytelników „Kontaktów” bardzo przepraszam. Pani zaś dziękuję za zwrócenie mi uwagi. W rewanżu informuję, że nasza redaktorka graficzna ma na imię Iwona.

Tekst skonstruowałam wyłącznie na podstawie wypowiedzi uczestników zebrania; nie moją jest winą, że prawie wszystkie wskazywały na poczynania Pani jako zarzewie konfliktu.

Telefonicznie powiedziała mi pani m.in., że doktor Dąbrowski wrócił zneony propozycją dyrektora, który obiecał zrobić go I sekretarzem POP; zdanie to przesądziło o tym, że zrezygnowałam z szerszej rozmowy z Panią.

O tym, kto polecił rozwiązać Radę Zakładową i przeprowadzić wybory do władz nowego związku oraz kto wyprosił doktor Mioduszewską z gabinetu dyrektora — powiedziała mi ona sama.

Nie zaimprovizowałam wypowiedzi dyrektora Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej, Konstantego Znoski.

A co do rysunku Grzegorza Szumowskiego — radzę pamiętać, że dobra satyra jest wieloznaczna i wielosieczna.

STANISŁAW ZIELIŃSKI

W związku z oddaniem do druku pamiętnika dr. Mieczysława Czarneckiego Zarząd Oddziału Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej we Wrocławiu, będący inicjatorem takiego jego wykorzystania, składa serdeczne podziękowanie Waszej Redakcji za spełnienie naszych oczekiwań.

Jednocześnie prosimy uprzejmie o uzupełnienie notki od redakcji, zamieszczonej przy kolejnym odcinku pamiętnika w „Kontaktach” nr 2/81, o informację, że pamiętnik ten trafił do pani Heleny Czernekowej za pośrednictwem naszego Oddziału. Będzie to podziękowaniem za trud włożony w mozolną pracę przy przepisywaniu i oprawianiu pamiętnika, i zachęci członków naszego Oddziału, a także pozostałych członków Towarzystwa, do dalszej współpracy dla dobra Ziemi Naszej.

Dla pełnej orientacji dodajemy, że dr Czarnecki wraz z całą rodziną, zamieszkałą we Wrocławiu, Zabrzu i Paryżu, był mocno związany z Wrocławiem i naszym Oddziałem Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej. Z głębokim żalem informujemy, że w dniu 23 XII 1980 r. zmarła żona dr. Czarneckiego, Rozalia. Pochowana jest we Wrocławiu.

URSZULA
z MIODUSZEWSKICH
ZAGRODŃ
przewodnicząca Oddziału

Po wielu rzeczach złych, które pisaliście o naszej gminie, warto napisać trochę pozytywów, bo i te nie są u nas przecież rzadkością. Otóż po blisko dwumiesięcznej dyskusji nad nowym statutem i kampanii sprawozdawczo-wyborczej kółek rolniczych, 12 stycznia br. powołano do życia na terenie gminy Rutki organ samorządu wiejskiego — Gminną Radę Kółek i Organizacji Rolniczych. W skład prezydium GRKiOR weszli rolnicy — najlepsi producenci z gminy Rutki, posiadający także długi staż pracy społecznej. Miałem przyjemność przysłuchiwać się pierwszemu posiedzeniu tego organu i myślę, że losy naszej gminy zostały złożone w dobre ręce. Członkowie prezydium zdają sobie bowiem sprawę z tego, że palących problemów do rozwiązania jest mnóstwo i należy je rozpatrywać po gospodarstwu i z rozwagą, dla dobra rolników i całej gminy. Będą się starali mieć wgląd we wszystko, co jest istotne dla rolników, od rozdziału maszyn i materiałów budowlanych poczynając, poprzez usługi SKR, działalność GS „Sch” i BS, a na pracy sklepowych i magazynierów kończąc. Prezydium GRKiOR zaopiniowało też rozdział materiałów budowlanych i dokonało rozdziału ciągników, maszyn i narzędzi rolniczych. Nie była to sprawa prosta, bo mimo odnowy samorządu, ilość maszyn dla rolnictwa pozostała na dotychczasowym poziomie.

JERZY MAKOWSKI
Rutki

Zarząd Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Czyżewie, po zapoznaniu się z listem czytelnika zamieszczonym w rubryce „Kontakty »Kontaktów«” w numerze 3/81, przeprowadził szczegółowe postępowanie wyjaśniające, z którego wynika, że kierownik restauracji „Kasztelańska” ob. Irena Jadcak podczas pracy w wieczór sylwestrowy była trzeźwa i kierowała do końca balu całym zespołem pracowniczym, wprawdzie w sposób energiczny, ale nie używając w stosunku do kelnerek słów niecenzuralnych, a zwłaszcza rozpoczynających się na literę „k”. Poza tym, Zarząd Gminnej Spółdzielni składa się z prezesa, ob. Zenona Susoła, wiceprezesa ds. obrotu rolnego, ob. Bogdana Dąbrowskiego i wiceprezesa ds. handlu i gastronomii, ob. Julianny Białej. Jak z tego wynika, nie ma w GS żadnej wiceprezesowej, gdyż jedyny wiceprezes jest dotychczas kawalerem.

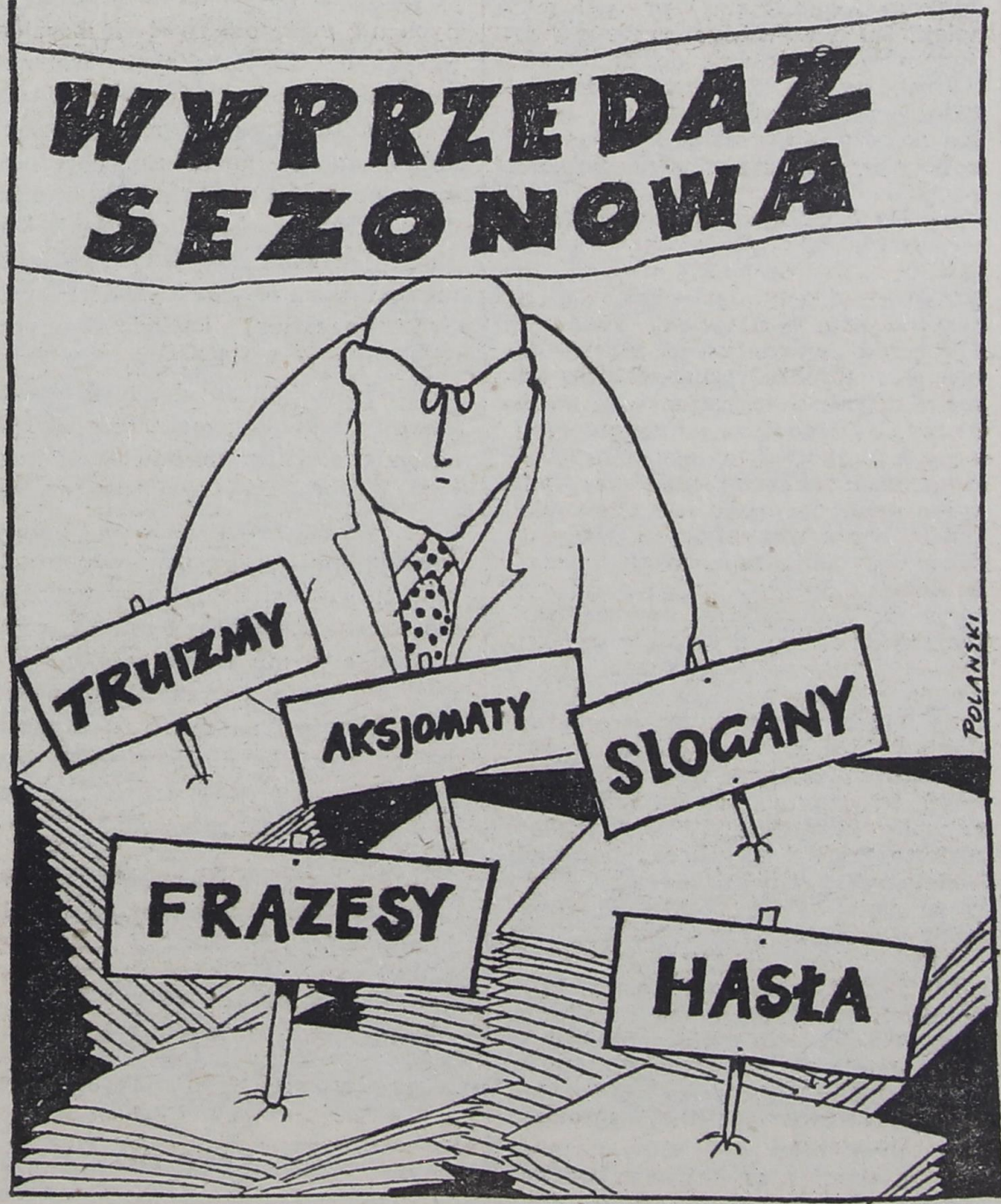
ZENON SUSOŁ
prezes Zarządu
JULIANNĄ BIAŁĄ
wiceprezes
ds. handlu i gastronomii

sądny dzień

rektora z dwoma sanitariuszami, poprosiła przewodniczącą Rady Zakładowej o wyjście itd. To brzmi jak komunikat chwalebny i triumfujący, kiedy Armia Radziecka wkroczyła do Berlina. W rzeczywistości weszłam do gabinetu z sanitariuszami „z duszą na ramieniu”, bo tak jak dyrektor i przewodnicząca nie wiedziałam, ile prawdy jest w tym, co przedstawili sanitariusze. Do przewodniczącej zwrócił się jeden z sanitariuszy, nie ja. Oświadczam, że nie należałam do komitetu strajkowego czy robotniczego, nie redagowałam z nimi żadnych postulatów. Sanitariusze żyją i pracują w szpitalu, można było zapytać ich o to. Postulatów miałam dość zebranych na zebraniach organizacji, z rozmów indywidualnych, przesłanych z plenarnych posiedzeń KMiG.

Bezasadne jest również stwierdzenie, że na zebraniu partyjnym wydałam polecenie rozwiązania Rady Zakładowej i przeprowadzenia wyborów do władz „nowego” związku. Po naradzie sekretarza POP w KMiG miałam obowiązek zrobić rozróżnienie wśród załogi, czy chce nowych wyborów do Rady Zakładowej. Nie wydawałam więc żadnych poleceń, wyniki rozróżnienia przekazałam, komu należało przekazać. I nie więcej.

Wyciągnęłam wnioski z całej sprawy i stwierdzam, że postępowanie



życie w kropli

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1



Najgorsza w tym wszystkim była jednak beznadziejność. Póki człowiek się nie zastanawia, nie patrzy przez lupe, co w tej kropli wody jest, to jakoś ją spija. Gorzej, kiedy się temu przyjrzy z bliska... Potrząsa tobą i odbiera radość życia. Co ponadto robiłem? Będzie tego jeszcze trochę: imprezy rencistów, zakończenie roku w szkole przykładowej. Wszędzie tam ponoć przydawałem się jako socjolog; tu powinienem przybrać jakieś hasło, gdzie indziej dopilnować dekoracji. Nie, za Mikołaja na zabawie choinkowej jeszcze nie robiłem, ale to tylko chyba dlatego, że nikt nie wpadł na ten pomysł. Delegacji też żadnych nie przyjmowałem, bo może bym coś palnął później tym od przesła? Dyrektor dobrze wiedział, gdzie jest miejsce socjologa.

I tak powoli zaczął mi ciążyć ten uniwersytecki dyplom. Myślałem coraz częściej o robocie fizycznej. Gdzieś przy piasku byłbym chyba bardziej przydatny niż tu... Później odbywałem roczną służbę w wojsku. Mój powrót przypadł na sierpień. Kontynuowałem wykłady dla mistrzów. Sporządziłem też nową ankietę, której i tym razem specjalista od spraw pracowniczych nie chciał puścić. Podobne w tej sprawie zdanie mieli i działacze naszej Rady Zakładowej. Już mnie to nie dziwiło. O nic szczególnego tam nie pytałem, np. o zadowolenie z pracy, o ocenę sytuacji w naszym zakładzie w porównaniu z latami minionymi, dlaczego pracownicy ZZPB muszą odrabiać zaległości produkcyjne w czasie tzw. „madródek” i jakimi sprawami powinna zajmować się organizacja związkowa, jaka jest ocena Rady Zakładowej w ZZPB. Zapytywałem też o stosunek do ewentualnego zrzeszenia się w niezależnym samorządnym związku. Odpowiedzi na te pytania nie interesowały ani dyrektora, ani naszych związkowców. Ktoś mógłby pomyśleć, że kierownictwo uważało, iż niewiedza o konfliktach załogi oznacza ich brak. I stąd niechęć do mojego sondażu. Ale niezadowolone w naszej zakładzie rosło i ludzie coraz częściej przerywali milczenie.

Ankiety zachowałem dla siebie. Wspomniałem jedynie o jej treści podczas wykładów. Temperatury w tamtych dniach dodawały wieści płynące z Wybrzeża i innych wielkoprzemysłowych regionów Polski.

W tym czasie Marek Rutkowski wyjechał na kilkudniowe szkolenie, zorganizowane w Augustowie przez ZSMP dla młodej kadry — absolwentów wyższych uczelni. Dalszy ciąg dyskusji, choć w nieco innym towarzystwie, przeniesiony został w augustowskie lasy. Na rozmowy z młodzieżą przyjechał, między innymi, ważny kierownik z Łomży.

— Usiłowałem mu wyjaśnić — mówi dalej Marek — co to jest klasa według leninowskiego rozumienia. Wspomniałem więc o kryteriach wyodrębniania klas. O tym, że stosunek do środków produkcyjnych, miej-

sce w procesie produkcji (tukład podwładny — przełożony) oraz poziom uczestnictwa w kulturze decydują, kto do jakiej klasy należy. Z tym się kierownik zgodził. Gorzej było z moją tezą, że jest to teoria konfliktu społecznego. Utrzymywałem — zgodnie z Leninem — że postęp odbywa się na zasadzie walki przeciwności. I podałem przykłady, jak to zarabiający po dwa tysiące złotych egzystują w naszym kraju obok tych, co zarabiają po kilkadziesiąt tysięcy miesięcznie. Ci ludzie muszą mieć różne interesy! Rodzą się między nimi, siłą rzeczy, konflikty. Idzie więc o to, żeby były one faktycznie dostrzegane, bo inaczej popekają z hukiem bańki społecznego niezadowolenia. Tak było w roku 1956, 1968, 1976 i 1980. A co ciekawsze: wzrastała częstotliwość tych wybuchów. Musimy zatem zinstytucjonalizować konflikt, a nie chować głowę w piasek. Udawać, że nic się nie dzieje i łagodnie przechodzić do coraz to wyższych etapów socjalizmu. Po wysłuchaniu tego kierownika ów zapytał: „Jak mogą być konflikty, skoro władza wywodzi się z ludu?”

Niedługo potem wracałem z Augustowa do domu. Matka już w progu powiedziała, że wciąż przychodzą ludzie z zakładu i pytają o mnie. Tam zaś dowiedziałem się, że włączono mnie do Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność”.

— Podczas wykładów z prawa — włącza się do rozmowy radca prawny — które prowadziłem dla mistrzów, podobnie jak Marek z socjologii, pytało mnie, jak należy przystąpić do organizowania nowych związków, żeby nie wejść w kolizję z prawem. I zaraz zawiązał się Komitet Założycielski. Marek włączyliśmy wprowadzić bez jego formalnej zgody, ale znaleźmy go z poglądów i odwagi, wiedzieliśmy, że nie odmówi. Agitowaliśmy też bez żadnego natręctwa. Wystarczyło puścić trochę informacji przez głośniki, aby w parę dni mieć w „Solidarność” ponad połowę naszej, prawie trzytysięcznej załogi. Ludzie jakby czekali na sygnał.

— We wrześniu zbieraliśmy postulaty — dorzucza Władysław Henczelski, jeden z animatorów nowego ruchu związkowego w „Bawelnie”. — Roboty nie przerywaliśmy, bo strajki gdzie indziej dobiegały końca, a my byśmy dopiero zaczynali. Nie chcieliśmy się ośmieszać. Podjęliśmy więc rozmowy z dyrekcją przy włączonych krosnach. Mieliśmy pełne poparcie załogi i strajk w każdej chwili mógł się rozpocząć. Spotkaliśmy się po pewnym czasie z władzami w „Relaksie”. Pośród postulatów na pierwszym miejscu stawialiśmy, oczywiście, niezależne samorządne związki. Wybrałem się też do Łodzi. Tam wciąż wrzało. Domagano się bojkotu jednostronnej prasy i telewizji. Duch w każdym razie był bojowy. Po przyjeździe do Zambrowa zabraliśmy się natychmiast za niezależne związki. Wiedzieliśmy, że nie ma na co dłużej czekać. Dyrekcja tej roboty za nas na pewno nie wykona.

— Do Łodzi jeździliśmy i później — mówi Marek Rutkowski — żeby dodać sobie zapału i odwagi. Nie wstydzę się o tym powiedzieć. Lęk jest w naturze człowieka, zwłaszcza lęk przed nowym, przed własną słabością i autokratyczną władzą. Atmosfera jedności i solidarności dużej grupy ludzi odciska na psychice ogromne piętno. I to jest potrzebne. Śmiesznie zabrzmiały podobne słowa tylko tym, co nigdy nie przeżywali trwogi w zbiorowym oczekiwaniu. Ja tego doświadczyłem. W listopadzie brałem udział w strajku okupacyjnym w „Marchlewskim” w Łodzi. Podczas trwających rozmów z przedstawicielami rządu zastrzyła się sytuacja z powodu Narodzińskiego. Wówczas bardzo wiele znaczyły dla nas napływające z całego kraju, ze słowami otuchy i zapewnienia solidarności, telegramy i telexy. Więcej niż wszystko inne. A kiedy nasze hasła i plakaty trafiły na ulice robotniczej Łodzi, byliśmy pełni energii i wiary w sukces, który rzeczywiście nadszedł niebawem.

Od początku wielu z nas, zwłaszcza tych z powojennego pokolenia, widziało potrzebę włączenia się w to, co dzieje się w Polsce. W tym upatrywaliśmy historyczne szanse. Już nie musieliśmy wzdychać do wielkich momentów z dziejów naszego narodu. Sami zaczęliśmy tworzyć historię. Teraz tych młodych „wy-

chylających się” jest jakby nieco mniej, gdzieś się pochowali. Zostali najwytrwalsi, o największym hartie ducha. Spotkałem w tym czasie paru kolegów ze studiów. Pytałem, co robią. Przeważnie nic. Stoją gdzieś na uboczu, czekają. Na co? Może na lepsze czasy... Tylko kto ma o to lepsze jutro się upomnieć, znowu ci najbardziej umęczeni robotnicy? A my poczekajmy, nam i tak coś z tego kapnie, a przynajmniej nie ubędzie. To smutne, że tak wielu młodych już niczego nie chce poza ciepłymi pantofkami i możliwością konsumowania na rachunek, oczywiście — nie własny. Może są to efekty spłyconej propagandy, oświaty bez historii, kastrowania młodzieży z ich młodzieńczości? Półtora pokolenia tym sposobem wypadło. Ci w wieku 28—32 lat jeszcze w coś wierzą. Młodszy są wewnętrznie puści. A jeśli mają jakieś ideały, brakuje im wytrwałości, ale to chyba nasza narodowa cecha.

Ludzie, widząc bałagan w kraju, szybko się załamują. Często jednak wystarczy trochę mocnych słów, by ich na nowo poderwać. Styczeńowa odezwa Wałęsy zrobiła piorunujące wrażenie. Uświadomiliśmy sobie znaczenie informacji. Od niedawna mamy więc własną poligrafie. Trzeba dać ludziom trochę prawdy. Do tej pory propaganda wykorzystywała łatwość zamydlenia oczu i manipulowania. Dopiero twarde, zaprzeczające tym kłamstwom, realia przebudziły ludzi. Oni od dawna czuli, że coś jest nie tak. Dlatego dziś chcą więcej wiedzieć, żeby znowu nikt ich nie wyprowadził na manowce; chcą współdecydować. Próbuje się zatem przedstawiać inne punkty widzenia i inne prawdy. Jest to konieczne do wyjścia na prostą z wirażu, na jakim znalazł się nasz kraj. Odnowa nie może oznaczać pustosłowa. Na nie gadanie, jeśli ludzie nie zobaczą, że faktycznie zmienia się do nich stosunek personelu nadzorującego i władz. Mówimy o odnowie, ale do czego to wszystko zaczęło się sprowadzać?

Podam przykłady wypowiedzi robotników z zebrania wyborczego — kontynuuje Marek Rutkowski — które w pewnym momencie przypominało nieco KSR, gdyż byli przedstawiciele kierownictwa zakładu, księgowi, ekonomiści. Przedstawiali oni cyfry, z których wynikało, że będziemy mieli mniejszy fundusz płac i musieli zwalniać ludzi z bezpośredniej produkcji. A my wiemy jedno, że podnoszenie wyników produkcyjnych nie może odbywać się kosztem robotników. I o to będziemy walczyć. Robotnicy dopominają się o czótenek, gońców itd. Braki w podstawowych urządzeniach powodują obniżenie wydajności. Na nic tu dokładanie ludziom krosien, skoro i tak będą one stały. Ogarnia nas jakaś wściekła niemoc przez te ciągle „nie” i „nie”. Prosi się całymi miesiącami o uszczelnienie w jakimś miejscu drzwi, bo wieje po spoconych plecach, nikt jednak nie kwapi się z naprawą. Tylko wciąż ludziom się powtarza: trzeba lepiej pracować, tylko dobrą robotą możemy poprawić swą dolę. Prawda, ale czy wyłącznie do robotnika te słowa należy kierować? Naszą klęską są niedociągnięcia organizacyjne, a nie wolne soboty. Nie wszyscy, zdaje się, chcieli to pojąć. Wygodnie jest narzekać na łamanie dyscypliny i te nieszczęsne soboty. Czy można się więc dziwić, że niektórzy powoli się załamują?

Rozważania Marka znów przerywa radca prawny. Wrócił przed chwilą z hali.

— Ludzie pytają, co z sobotą.

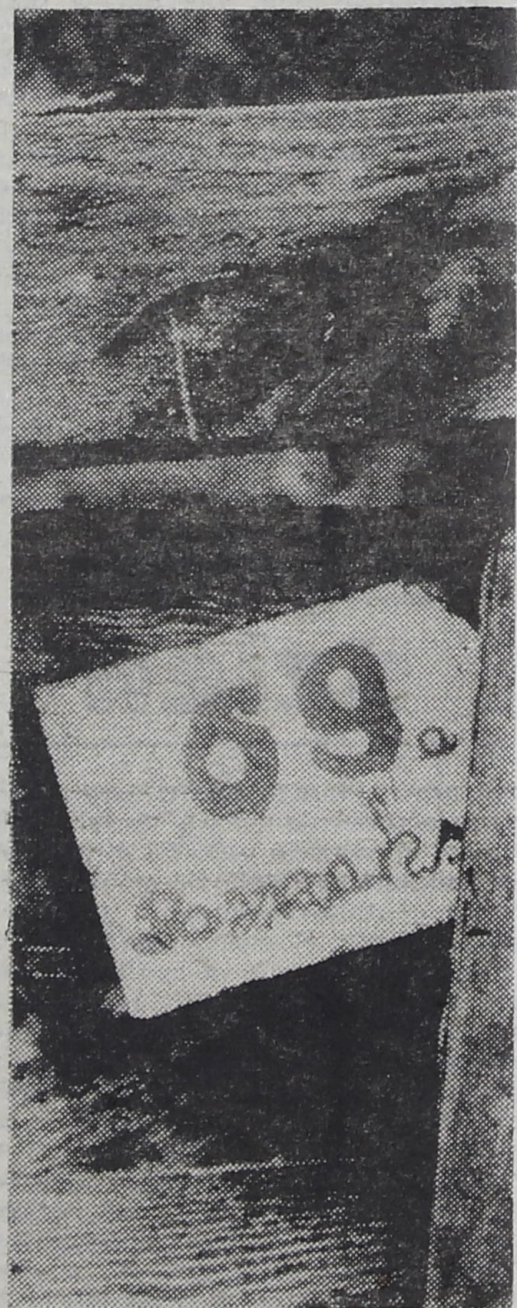
Marek: — Tym razem robimy. Nie chcemy mieć tu żadnych strat. Robotnicy w całej Polsce ich nie chcą.

LECH GIZELBACH
Fot. Autor

Gdzie mieszka Regina Matyszewska? Zaraz, zaraz pani po-każę — mówi zagadnięty na ulicy człowiek. A po chwili dodaje: — Ale nie, niech pani tam lepiej nie idzie. Przerazi się pani.

Miejsca tego należy szukać tam, gdzie ulokowały się największe zakłady przemysłowe Łomży. Stąd kilka kroków do fabryki mebli, niedaleko do Przedsiębiorstwa Przemysłu Spożywczego i zakładów bawelnianych „Narew”. Peryferie miasta, a właściwie ni to miasto, ni wieś. Z jednej strony małe, z rzadka tylko poprzedzielane pudełkowatymi piętrowkami, domki, z drugiej — niebotyczny komin, wyrzucający w niebo kłęby dymu. Wiejskie zagrody z obórkami i stodółkami, uprawne pola, a tuż obok wiadukt, rurociąg, foliowe namioty i — walające się przy drodze — potężne betonowe kreski.

siedem hektarów azylu



Poznańską codziennie przemierzają ludzie idący do pracy przy meblach. Przechodzą obok miejsca, gdzie mieszka Matyszewska. Zatrzymują się tu, zaglądają i gorszą się; klną na Matyszewską i litują się nad nią.

Tak, wszystko się zgodza, i klną na nią, i litują się jednocześnie, bo miejsce to trudno nawet opisać. Cisną się tylko określenia: gnój i bagno.

A kiedyś były to pewnie całkiem normalne — takie, jakich jeszcze wszędzie po wsiach dużo — oplotki. Drewniany dom, obórka, stodoła, bróg i plot.





Wejścia do domu broni jak lwica

— Ale, proszę pani, co się miało nie zawalić, przecież to drzewo sto lat temu w lesie rosło. Dawno już spróchniało, zmurszało. Na jesieni poszły deszcze i runęło — mówi sasiad pani Reginy, Zygmunt Just. — Matyszewscy kupili ten dom jeszcze przed wojną, w trzydziestym piątym czy szóstym roku. I dopóki Matyszewski żył, a też był nieszczęśliwym człowiekiem, inwalidą (nogę miał amputowaną), to wszystko się jeszcze kupy trzymało. Ale już dwa lata będzie, jak umarł.

Teraz domostwo Matyszewskiej sprawia wrażenie śmietnika, nad którym pochyliły się żałośnie dwa potężne, stare drzewa. Leży tu stertka obornika, kilka cegieł przykrytych papą, dalej, wśród słomy, walają się deski, pewnie z tej stodoły, co to się zawaliła, a może domu. Z zabudowań pozostało coś, co w najlepszym przypadku można by nazwać szopą. Strach tego dotknąć, bo sprawia wrażenie, jakby za chwilę miało się rozsypać. Małe, zakopcone okienko, w drzwiach, okręcony dokoła drutem, skobelek. Dach już nie ma, tylko kilka belek świadczą o tym, że kiedyś istniał. A wiatry nie darowały nawet kominowi. I gdy teraz Regina Matyszewska napali w kuchni, dym wydobywa się na zewnątrz wszystkimi szczelinami w ścianach, a buchając z kominu na wysokości stropu, bo tu komin się kończy, ścięło się pomiędzy pozostałymi po dachu belkami. Tylko bróg zachował się w dobrym stanie. Ale stoi pusty. Wykopany w ziemi dół, z góry osłonięty starymi gałganami, kawałkami desek i tektury, służy za oborę trzem krowom. Jeszcze tydzień temu były cztery, ale jedna już zdechła. Utyłane w błocie, wymęczone, wychudzone bydła nawet nie mogą tam rozprostować, bo za płytko.

Regina Matyszewska jest gospodynią na niemalże siedmiu hektarach. Takie gospodarstwo w Łomży, gdzie spośród wszystkich 462 tylko 50 proc. przekracza wielkością dwa hektary, należy do największych. Ale ta ziemia nie rodzi pionów i nie przynosi korzyści nikomu. Regina Matyszewska nie ma ani konia, ani wozu, ani pluga.

Zygmunt Just mówi, że wszystko to przez upór Matyszewskiej. — Ona zawsze była taka uparta. Gdy umierał Matyszewski, mówił jej przecież: oddaj cztery hektary w dzierżawę rolnikowi z traktorem, to ci i te dwa, co masz blisko, przy okazji obrabi. Ale czy ona posłucha dobrej rady? Nie! Zaraz jakiś podstęp wietrzy: a to oszukać ją chcą, a to ziemię jej zabrać. I żadnej rozmowy z nią nie ma.

— Całe życie takie usadne drewno była — wspiera pana Zygmunta żona. — Strasznie, niech Bóg broni, uparta.

— Kiedyś była u niej para koni, stodoła, wóz — kontynuuje Zygmunt Just. — Ale konie pozdychały, wóz zgnił, kariat zgnił, stodoła najpierw się pochyliła, a później runęła. Cztery hektary teraz stałe odłogiem leżą, te dwa tylko uprawia. Co roku coś posieje; napracuje się tam, biedna. Tylko pożytku nigdy z tego nie ma: to nie zdąży zebrać, to znów jej kartofle przemarzają, to, jak w tym roku, złodziej z pola siano ukradnie. I zwierzęta co zimy niedożywione. Ludzie by jej pomogli, ale ona nie chce, taka jest nieufna. Teraz też każdy by jej przez zimę te krowy przechował, gdzieś w stodole zawsze trochę miejsca by się znalazło.

Regina Matyszewska nie życzy sobie żadnej pomocy. Uparta, dumna — tkwi tu, gdzie ojciec kupił jej za ciężko zapracowane w Ameryce pieniądze to, co teraz stało się jej ojcowizną. Nie chce, by ludzie interesowali się nią i wtykali nos w jej sprawy. Gościom nie jest rada. Bo jakże ona, pani na siedmiu hektarach, ma pozwolić komuś na oglądanie ruiny, w której mieszka? Wejścia do domu broni jak lwica i tylko nielicznym udało się zobaczyć ciemną izbę, zaruconą cegłami, workami, deskami, wśród których stoi jej łóżko. Wizytę fotoreportera potraktowała jako wielką osobistą porażkę.

Sołtys dzielnicy Łomżyca, Antoni Dąbrowski, zna sprawę Matyszewskiej. Jakże miałby nie znać? Wszyscy ludzie w okolicy o niej wiedzą, a on mieszka z nią prawie przez miesiąc, tyle tylko że po drugiej stronie wiaduktu. Całą winę za zrujnowanie gospodarstwa przypisuje właśnie pani Reginie.

— Ludzie mówią, że to ten jest winien, to tamten — tłumaczy — ale tak naprawdę, to ani urząd, ani prezydent, nikt. Chcieli jej przecież pomóc. Rentę daliby, gdyby ziemię zdała, mieszkanie dostałaby w bloku. Ale przyjąć nie chciała, choć już wtedy niewiele lepiej było niż teraz. Nawet decyzję wydano w jej sprawie. Odwoływała się aż do ministerstwa, no i cofnęli.

Twardo stanęła Regina Matyszewska w obronie swojej własności. Przywiozła z Białego toku córkę i wnuczkę. Wszystkie poszły do prezy-



Wykopany w ziemi dół służy za oborę trzem krowom

denta i prosiły, płakały. Obiecywały, że postawią gospodarstwo na nogi, a wnuczka, jak tylko szkołę skończy, zaraz je obejmie. Aż prezydent ustąpił.

Regina Matyszewska ma 68 lat i za sobą ciężkie życie. Dobrze było tylko wtedy, gdy ojciec, po powrocie z Ameryki, kupił gospodarstwo. Pieniądzy nie brakowało i przyszłość rysowała się świetlana. Ale później przychodziły same nieszczęścia. Schorowany mąż rozpił się. Ona rodziła dzieci, które umierały. Z dziesięciorga tylko jedno przeżyło. A gospodarstwo z roku na rok chyliło się ku upadkowi.

Sołtys uważa, że wywiezienie Matyszewskiej gdzieś do bloku byłoby prawie tym samym, co zateżnienie jej pętli na szyję. Dobrze ją zna i wie, jak bardzo zżyta jest z tym majątkiem. Na zebraniu w Urzędzie Miejskim wysunął propozycję zebrania od rolników po kilka wiązek siana dla krów Matyszewskiej. Wszyscy go poparli. Spodziewali się, że w chwili nastania tak wielkiej biedy, w której nawet krowy prawie z głodu zdychały, przyjmie ich pomoc. Ale Matyszewska już za dwa dni gromko wykrzykiwała urzędniczkom ze służby rolnej, że ani zebrać nie jest, ani żadnej jałmużny nie potrzebuje i sama sobie poradzi.

Tak, długie pasmo niepowodzeń zahartowało ją i uodporniło. Nauczyła się nieogładania się na innych. A ziemia znaczy dla niej najwięcej, bo stała się symbolem jej dawnego szczęścia. Przecież tylko te hektary

świadczą o tym, że nie zawsze było tak, jak jest teraz.

Janina Kulikowska, instruktorka służby rolnej, zna Reginę Matyszewską od czterech lat. Odkąd opiekuje się tym rejonem, z jej gospodarstwem miała największy kłopot. Napisała stąd kilkanaście protokołów i tyleż samo wniosków o odebranie Matyszewskiej ziemi oraz przydzielenie mieszkania. Teraz dysponuje już opasłymi skorosztytami dokumentów tej sprawy, która zawsze rozbijała się o opór nieprzejednanej właścicielki. Mocno zaangażowała się w tarapaty Matyszewskiej i teraz, jako urzędniczka, wnioskuje o wywłaszczenie i eksmisję, ale tak naprawdę — sama nie wie, co byłoby lepsze. Przecież Matyszewska zawsze mówi, że może żyć tylko tutaj, nad strugą, nie gdzieś tam na piętrze, w bloku. Zapowiada, że gdy ją wyeksmitują wróci tu, choćby miała dół w ziemi wykopać i w nim mieszkać.

Janina Kulikowska była pełna mieszanych uczuć, gdy przyszło jej doreczyć Matyszewskiej następne pisma z Urzędu Miejskiego. Tym razem — dwie decyzje: o przejęciu gospodarstwa z urzędu w zamian za rentę i o przydziale mieszkania. Postanowienie o rozbiórce obecnego wydano już dawno. Ciekawa też była reakcji staruszki. Może wreszcie, w obliczu wielkiej biedy, zmięknie? Ale reakcja była taka sama, jak zwykle.

Regina Matyszewska znowu czuje się pokrzywdzona. Ziemię zabiorą, spychaczem zburzą dom, który nie kwalifikuje się nawet do rozbiórki. Za co ją taka kara spotkała? — pyta. Czy za to, że miała męża pijaka, który jej cały majątek zmarnował? Czy za to, że rodziła tyle dzieci, które umierały i teraz tej jedynej córce chce swoją ojcowiznę przekazać? Czy ona kiedyś co komu ukradła, że teraz chcą zabrać jej gospodarstwo? Czy to jej wina, że dwa razy rozkradli materiały na budowę nowego domu i nie ma gdzie mieszkać? Czy cisną się jej do oczu. Przecież tu umarł jej ojciec. Tak ciężko pracował w Ameryce, by kupić tę ziemię dla niej. Ona też chce tu umierać.

— Tu — pokazuje palcem ziemię — tu jest moja ojczyzna.

Nie trafia do niej argument, że szkoda jej zdrowia na życie w takich warunkach. Nie rozumie, że nie można tak męczyć zwierząt. Znajduje setki wykrętów.

— Wszystko, już zaraz wszystko będzie dobrze. Wnuczka wróci z Białegostoku, będzie gospodarzyć. Ja muszę przekazać jej to gospodarstwo — mówi z przejęciem.

Ale chyba sama nie wierzy we własne słowa. Nie wzrusza jej ostrzeżenie, że mieszkanie, które od dawna nie zasługuje już nawet na nazwę slumsu, zawali się jej kiedyś w nocy na głowę.

— Ja tu nie sypiam — mówi. Na pytanie: — A gdzie? — nie umie odpowiedzieć.

Regina Matyszewska znowu wypowiedziała wojnę urzędowi. Nie wyprowadzi się stąd dobrowolnie ani nikomu nie odda swojej ziemi. Znowu będzie pisać odwołanie, chodzić, prosić, lamentować. Walczyć o swoją — dawno przegraną — sprawę. A w chłodne dni — jak zwykle — wciśnie się pomiędzy swoje zagłodzone krowy i ogrzeje je własnym ciałem.

WIESŁAWA TERESA
ZOCHOWSKA
Fot. WOJTEK SURAWSKI



Matyszewscy kupili ten dom w trzydziestym piątym czy szóstym roku





Z fragmentów pamiętnika, które przesyłałam, usunąłem większość wywodów filozoficznych, społecznych oraz wszelkie myśli, mogące obrażać publiczną moralność.

Zbigniew Dylewski

16 II 1980 r.

Nie mogę zasnąć. Boję się śmierci w letargu. Wspomnienie matczynej opowieści z dzieciństwa wraca jak bumerang. Przez pięć lat, aż do lat siedemnaście, idąc spać — bałem się, że mogę być żywy złożony do trumny. Kiedy potem obudziłem się, zakopany dwa metry pod ziemią... wyobraźnia podsuwała makabryczne obrazy. Ofiary letargu wyciągano z trumien z odgryzionymi palcami, wylapanymi oczyma, twarzą wygiętą w kablak najszkaradniejszej poczwary. Śmierć w letargu to pięć minut walki z instynktem życia. Tylko pięć minut i aż pięć — bez powietrza, w obłądnie. Ciało konwulsyjnie drga wałąc o spód trumny, członki drą się o pomstę, z ciemności wydobywa się ostatni życia zew — rykowskaskowilenie odchodzącego człowieka.

Wszyscy już śpią. Przez pięć lat zdążyłem przyzwyczać się do tej obłądnej wizji. Potem złożyłem do Boga, w którego nie wierzę, prośbę o śmierć w letargu. Prosiłem o tę śmierć pod warunkiem, że nie otrzymam za me cierpienie nagrody. Tym byłem od niego silniejszy. Przez pięć lat — idąc spać — rozstawałem szeroko ramiona i nogi, naiwnie rozumując, że jeśli umrę, to zeszytnię do rana i nie zmieszczę się w trumnie! Następnego dnia po ślubowaniu załamane się. Wycofałem podanie o cierpienie, kajałem się jak niemowlę przed ojcem. Ale byłem już silniejszy o ten jeden akt odwagi. Po kilku dniach odważyłem się po raz drugi. Po tem udało mi się zapomnieć. A jednak powróciło do mnie.

Wszyscy śpią. Boże, czemu nie umiem płakać? Niech ze łzami spłyną ze mnie wszystkie złe wspomnienia. Kiedy odpocznę od życia?

24 II 1980 r.

Odzywa się we mnie stara miłość. Aż dziw bierze, że można żyć w miłości do jednej osoby przez kilka lat wiedząc, że nie jest ona odwzajemniona.

Moja miłość siedzi w ławce przede mną. Była kiedyś dla mnie Bogiem, do którego zbliżyć się można jedynie przez słowa i uczucie, broń Boże fizycznie. Potem posiadał ją inny. Moja miłość przerodziła się w nienawiść równie ślepa, namiętą i głęboka. Minęło kilka miesięcy i stała mi się obojętna. Aż wreszcie teraz wróciła powtórnie. Jakie znaleźć dla niej miejsce? Kiedy była jeszcze wolna, a ja miałem szesnaste lat, śledziłem Jej codzienną drogę do szkoły, ukryty w siatkowym śmietniku. Nigdy nie potrafiłem zaakceptować Jej jako kobiety, jako partnera, jako kogoś, kogo nie sposób poznać nie odwzajemniając mu się tym samym. Czy byłem przez to dzieckiem, że miłości nadawałem wymiar wyłącznie platoniczny, że związek pomiędzy kobietą a mężczyzną traktowałem w kategoriach wyłącznie absolutnych? Była jedyną chyba kobietą, której nie odważyłbym się zgwałcić. Za bardzo zrosła się ze mną, za bardzo była do mnie podobna, zbyt wiele widziałem w Niej samego siebie. Złączyło nas to coś szczególnego, co zawiązuje się pomiędzy kobietą a mężczyzną, pomimo to pozornie nie mają sobie nic do powiedzenia. Może zresztą to tylko iluzja. Może naprawdę nie mamy sobie nic do powiedzenia. A jednak kocham ją. To śmieszne, co piszę — wiem. Nie stanąłem na wysokości potrzeby czasu. Czort z nim! Niech będzie jedna gwiazda na zablonym niebie. Nie wierzę w Boga, to niech chociaż ona zostanie.

1 IV 1980 r.

Dlaczego ja płaczę? Nie mam siły żyć. Tu już nie chodzi o to, czy wygram, czy poniosę porażkę, bo moja klęska przesądzona była od dnia urodzin, chodzi o to, że nie mam siły dłużej żyć. Skowyczę jak skopane na śmierć bydło. Czas, który musi nastąpić, napawa mnie przerażeniem. Mam w sobie tytaniczny lęk, nie wiem, przed czym, nie wiem, dlaczego, nie wiem, co on ze mną robi, ale wiem, że robi dobrze. Ta śmierć, która we mnie wstępuje, jest mną samym, daleko od-

ległym. Boże, kiedy wrócę do siebie? Jak długo będę zawieszony w nicności? Strach paraliżuje wolę i szaleje w wyobraźni. Ja wiem, że doświadczenie to spycha mnie daleko od ludzi normalnych; wiem to od ludzi. Ale nie chcę niczego zmienić, może dlatego, że nie mogę. Może noszę w sobie potzucie winy i obowiązek poniesienia kary. Co ja plotę?

Na tym świecie nie ma nic prawdziwego, wszystko stworzył człowiek, wszystko: naukę, sztukę, prawa, moralność — w kategoriach absolutu — tylko dlatego, żeby sankcjonowały jego działalność. Wytworzył wokół siebie śmieszny świat iluzji. Co jest na tym świecie poza stertami symboli? Przeróżająca pustka. Każde zdanie dla swojej prawdziwości wymaga postawienia założeń. Każde zdanie jest okropną bajką, wymysłem schorowanego mózgu, bo żadne założenie nie wypływa wprost z rzeczywistości, ale jest efektem ludzkich o niej wyobrażeń. Jeżeli mówię zdanie, to ma ono sens tylko dla specyficznych założeń, poza którymi jest zlepkiem pustych dźwięków. Jesteśmy uwięzieni w matni własnych iluzji. Świat, jaki odbieramy, jest z konieczności światem niepełnym — człowieka. Co my możemy orzec o rzeczywistym absolutnie. Czym jest ciało? Jest taką samą formą bytu, jak myśl, jak wyobrażenie, nawet jeśli — dla zaspokojenia ambicji organizatorów życia — przyznajemy im bezwzględny priorytet. Jacy jesteśmy mali — my, ludzie. Któż na ziemi ogarnie bezmiar naszej chaotycznej działalności, prowadzącej donikąd, jeśli nie do samozagłady.

Jesteśmy gatunkiem przejściowym, musimy wyginać. Co z tego, że zdołamy inne planety. Jesteśmy równie głupi, jak nasi przodkowie. W świecie zewnętrznym szukamy odzwierciedlenia nas samych — jakie to infantylne i krótkowzroczne. Katastrofa, jaka nadejdzie, nie będzie zawaleniem się wszechrzeczy, a jedynie upadkiem form dostępnych zmysłom człowieka. Katastrofa, jaka nastąpi, nie będzie zburzeniem bytu w ogóle, ale tej jego drobnej cząstki, którą odbiera człowiek.

Nauka to nie innego, jak wynajdywanie wciąż nowych iluzji, które sankcjonowałyby nasz byt i działalność. Jesteśmy gatunkiem przeznaczonym na rzeź. Niech się stanie szybciej, co ma się stać — skończy tę komedię życia. Wystarczy utworzyć sobie żyły. I to już koniec.

Jestem pusty jak naczynie bez dna, jestem wściekły jak ostatnia torpeda tonącej łodzi podwodnej, jestem mały jak skowyt konających ludzi i wesoly jak pies rozszarpujący flaki przechodnia. Jestem ży-

wym bólem i ciepłą jak krew bezsilnością. Jestem sam i sam chcę pozostać. Wolę to, niżbym stać się miał fanatycznym c'chowyznawcą i głośnym gjaurem własnej iluzji.

6 IV 1980 r.

Nie chcę śmierci. Jest okropna jak młoda, czysta, podniecająca czarownica. Pani Czarownico, składam przed Tobą pokorne prośby: wróć do mnie, bo jestem sam. Skłóć moje dlonie. Obedrzyj myśli z marzeń i przypraw im szkaradne mamidia z minionego wieku. Matko Czarownico, chodź do mnie. Chcę się do ciebie przytulić. Bądź ciepła. Ukryj mnie przed złem tego świata. Rozorań mój mózg i wypleń z niego wszystko, co złe. (Co tu na tym świecie jest złe?). Daj mi spokój ducha, daj sen. Niech nie chodzę po prośbie do lekarzy, aby wydawali mi pastylki na uspokojenie. Matko, przytul mnie. Matko, nie opuszczaj mnie. Nie zostawiaj samego. Zgniotą mnie dni jak glistę przechodnie. Matko, prowadź mnie...

8 IV 1980 r.

Jestem synem ślusarza i ekspedientki. Ten, który dostąpił życiowego sukcesu, może poczytywałby sobie za chlubę afirmację takiego pochodzenia. Ale ja jestem niczym. Każda rzecz jest silniejsza ode mnie swym nieświadomym trwaniem. Ja nie trwam — ja wygasam, bo odbierają mi powietrze, bo wyciągają ze mnie wszystkie silne pierwiastki, bo przeczą mojemu istnieniu, karsząc być takim, jakiego oczekiwali — budowniczym materialnego dostatku społeczeństwa. Jestem jak szkło, z którego nie sposób ulepić ładnej figurki, bo się pokruszy. Leżę rozbity w mak. Nikt mnie nie zbierze i nie odtworzy, bo nie ma mnie w nikim poza mną.

Nie zrobiłem dziś absolutnie nic. Kiedy bilansuję moje życie, widzę, że jest jednym wielkim zawodem.

9 IV 1980 r.

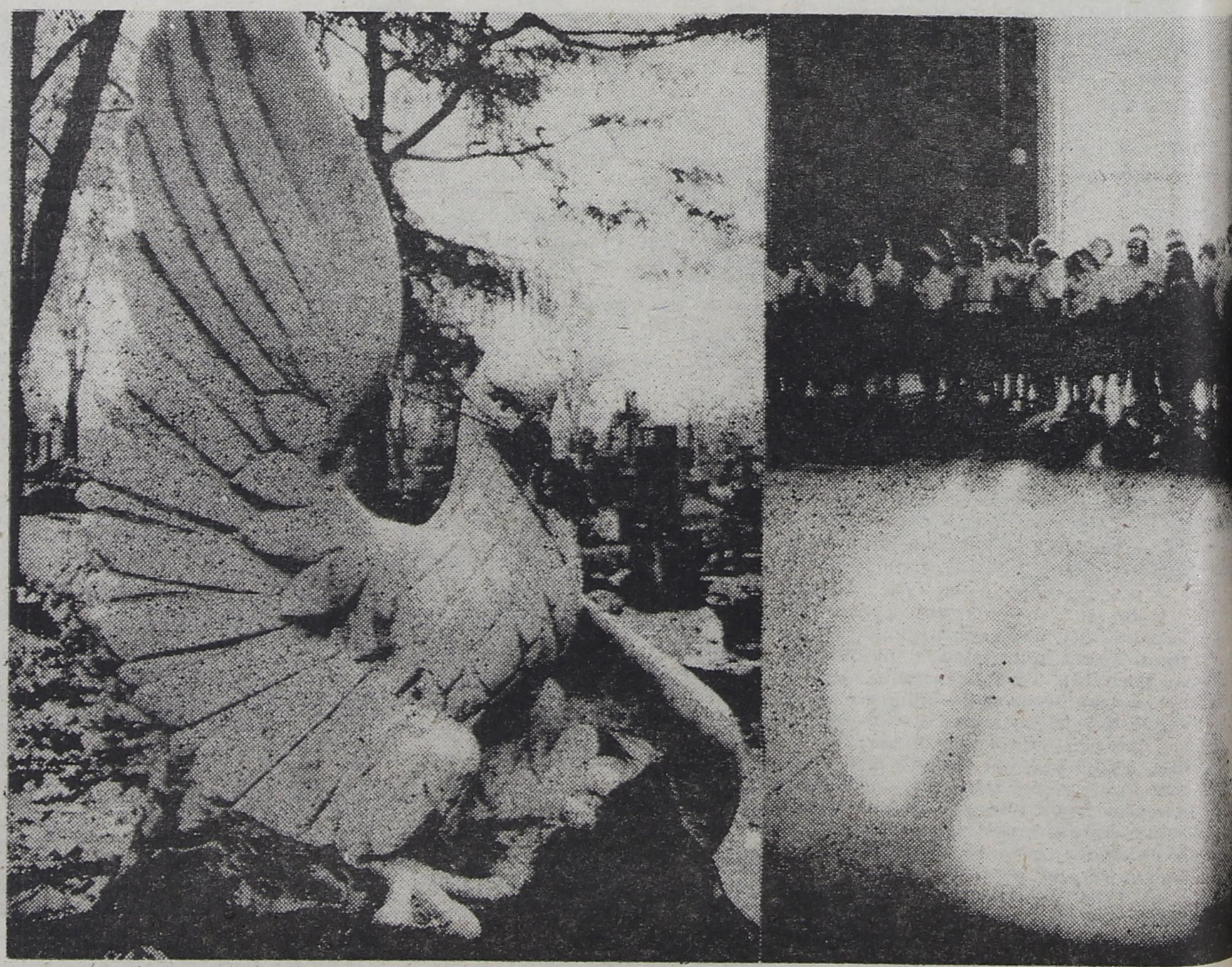
Życie zjadacza chleba. Rzygam na skostniałą mieszczańską rodzinę, rzygam na jej uświęcony tradycją dom, rzygam na gospodynię — żonę — kury domowe, na tatusiowatych, zaspanych inżynierów, na ich cholernie wypieszczone, pretensjonalne potomstwo. Wiem, że ja tak nie przeżyję. Jeżeli świat mój miałby zaczynać się odsiadówką w pracy i kończyć w małżeńskim łożu, jeżeli miałby być uświęcony tradycją, usankcjonowany normami, zamknięty w konwenansach moralnych praw i przyzwyczajzeń, to zniszczył ten świat we mnie, bo jest jak skorupa, w której wolny duch (wolny, lecz nie wolnością zbuntowanego) nie może się zmieścić.

Zrobię wszystko, aby mój dzień nie zszedł na śpaniu drobnego chle-

ba i popijaniu „deszczówki”. Chcę świata, który tradycja uświęciła złem. Chcę świata dla siebie, bo po to tu przyszedłem. Chcę zapomnieć o wojnie, która była i która pochłonęła ileś tam milionów ludzkich istnień. Chcę żyć swoim życiem, życiem mojej generacji. Wyświecił nas czas, jaki następuje, nie — historia, ochrzczono nas w krwawej rzezi światopoglądowej, nie — w opowiadaniu bajek o Królownie Śnieżce i Czerwonym Kapturku, prowadził nas za rękę rozpęd dni, nie — zasiedzieli ojcowie. Jesteśmy nowi, odjęci matkom od piersi, schorowani od samodzielności, obłąkani życiem, widzący szerzej, dalej, głębiej i ostrzej. Stanowimy prawdę o czasie, który nas wychował.

11 IV 1980 r.

W drodze do szkoły przechodzę obok sklepu mięsnego. Zawsze stoję przed nim kilkudziesięcioosobowa kolejka. Są to z reguły ludzie starsi. Mężczyźni czytają gazety, kobiety plotkują. Od świtu. Sklep otwiera o dziesiątej. Towar przywożą około czternastej. Prosty rachunek mówi, że wyczekiwanie w kolejce zajmuje więcej czasu aniżeli codzienna praca w przedsiębiorstwie. W sprzedaży wprowadzono ograniczenia, ale czy to coś pomoże? Musimy spojrzeć prawdzie w oczy: system kierowania gospodarką zawiodł. W sklepach toczono są często batalie o towar, słownie i fizycznie, o ile ten w ogóle pojawi się na półkach. W księgarniach daje się odczuć chroniczny brak książek, z wyjątkiem miernych propagandówek. Obuwia — brak, ubiorów — brak, żywności nie wystarczy nawet po cenach komercyjnych, mebli — brak, mieszkań — wciąż niedostatek, choć oddawane w, pozał się Boże, oplakany stan, samochodów — nie ma, cena giełdowa dwukrotnie przewyższa cenę sklepową, sprzęt gospodarstwa domowego — nie pokazuje się w sklepach z powodu zbyt małych dostaw, na sprzęt i odczynniki fotograficzne sporządza się listy z kilkuletnim wyprzedzeniem, motory i rowery — dostępne są tylko przez znajome ekspedientki, materiałów budowlanych — nie ma, sprzętu rolniczego, lekarstw, drobiazgów przemysłowych, części zamiennych do różnego rodzaju sprzętu mechanicznego — nie ma. Pieniądze straciły byt jako środek płatniczy. Rozwijają się formy handlu wymiennego. Kwitnie kumoterstwo i protekcyjizm. Praca zbankrutowała jako miernik wartości społecznej człowieka. Solidna robota zastąpiona została frazesami. Zyskały na wartości spryt, obrotność, bezwzględność, zdecydowanie, słowem — wolna konkurencja, ale nie



w wydaniu współczesnokapitalistycznym, a w małym ludzkim ciułaniu pieniędzy. Występuje chroniczny brak rąk do pracy. Biura przepelnione. Robotnicy dyskryminowani w zarobkach. Uprzywilejowani wojskowi i milicja, a zupełnie zapomniani nauczyciele. Okres wyczekiwania na mieszkanie wynosi 8-12 lat. Roczne spożycie alkoholu — 350 milionów litrów. Jeden punkt sprzedaży przypada na 750 osób, w Szwecji — na 27 000. Wyniszczymy się biologicznie.

14 IV 1980 L.

Obiecała pożyczyć aparat fotograficzny i przyjść z nim do mnie w poniedziałek. Nie dotrzymała słowa! Zbyła mnie infantylnie naiwną wymówką, krótkim, potulnym wyjaśnieniem, że ktoś z kimś popsuł sobie stosunki i pożyczanie nie może dojść do skutku. Niech to czort! W końcu ani przez chwilę w ciągu soboty, niedzieli i poniedziałku nie wierzyłem, że przyjdzie do mnie. Coś takiego nie przystoi dziewczynie, która ma swego chłopca. A Ona jest konserwatywna, cholernie konserwatywna. Wciąż czegoś się boi, nawet ten pociąg do mody, to ustawiczne gonienie za nowoczesnością, jest też swego rodzaju oznaką słabości. Nie mogę Jej odtrącić. Czuję do Niej litość. Jest jak zwierzę, które należy oswoić i dopasować do charakteru swego pana. Taka nie odkryje w sobie nigdy radości wolnego szczęściem człowieka. Skazana jest na współczesnictwo w pierdułkowatych romansidach, stworzona do wierności, roli pretensjonalnej i szykownej kuchty, do rodzenia dzieci. To jest kobieta, którą ubóstwiałem!

Można kogoś kochać, można nienawidzić, można być obojętnym, ba, ale musi to być ktoś — człowiek z wolną wolą, człowiek świadom samego siebie, nie — zwierzę, nie — wygodna poduszka do spania, nie — życia kontynuator, ale organizator.

O czym mógłbym mówić z tą prymitywną istotą? Podświadomie upodabnia się do papierowej sylwetki z reklamówki ostatniego krzyku mody. Ona źródłem doskonałości? Jest w Niej trochę kobiety tępej i głupiej, próbującej nieudolnie grać rolę doświadczonej i wyrozumiałej, trochę kociaka, ale przede wszystkim jest to nędza psychiczna, istota, z którą wszelki dialog jest niemożliwy, nimfa Echo, wytwór swego czasu: zlepek sloganów, strzępów elektrycznych filozofii, najprzeróżniejszych uprzedzeń, zabobonów; twór bezosobowy, bezmyślna istota. Cały Jej żywot jest wiecznym rezygnowaniem z siebie, podporządkowany klątwie dzieciństwa.

Jak to się mogło stać, że z człowieka powstała rzecz? Biedna to istota, która ma tylko sumienie. Po-

zbawiona jest siły, jaką niesie ze sobą niewiedza, i wolności, którą rozrywa od wewnątrz bezsilność. Jest mi Jej żal. Co mogę zrobić? Nie widzieć Jej.

20 IV 1980 L.

Do późna w nocy przewracałem się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Za dwa tygodnie matura. Cały wczorajszy dzień przesiadziałem nad książkami. Odkryłem, że nie nie umiem, nie, absolutnie nie. Jestem jak naczynie bez dna, w które wciąż można tłoczyć tony wiedzy, a ono wcale przez to doskonalszym się nie stanie. Zadania z matematyki szły topornie. Do jasnej cholery, i czemu ja właściwie zdaję fizykę? Natrętna myśl pełza pod sklepieniem czaszki: matura to nie, to pecha, ale egzaminy... Nie mam żadnych wpływowych ciot ani wujków — zasrany los potomka robociarza. Jeżeli w tym roku obleję — pójdę do woja. Niech to szlag! To będzie koniec mnie, mnie — nadziei rodziców. Czort z nimi, życie będę miał absolutnie przesrane. Po maturze nie ma bezrobotnych. Jest się kupą żyłastego, niewykwalifikowanego mięsa. Trzeba będzie co dnia chodzić po gnoju, nadstawiać twarz pod rąry i wyciągać ręce po ochłapy. Takie jest życie niewykwalifikowanego. Co z tego, że zarobi dobrze (jak mu się uda), kiedy jest śmieciem, tylko narzędziem, które uleżało się w dłoniach — niczym więcej. Wiem o tym, dlatego skoczę z wieżowca albo się powieszę. Potrzeba na to trochę wiary i samozaparcia. Sam nie wiem, czy skacząc z wieżowca popełniam mord na sobie, czy na dwumiliardowym społeczeństwie. Przecież to ono przestanie dla mnie istnieć.

Ale co ze mną będzie, jeśli nie zechce umrzeć?

Chciałbym kochać się w pięknej mojej matce, ale moja matka nie jest piękna. Zatopiłbym swe żale w jej ciele. Mamo, mamusiu, kochanko o długich czarnych włosach, w których ukryć można mokrą, skrzywioną twarz, ostatnia nadziejo samobójców, daj mi dotyk twoich dłoni delikatny, daj nową wyobraźnię. Wtul mnie w siebie, otul enklawą twoich nóg i dłoni. Mamusiu, złota mateńko, wypróżnij moje myśli, schowaj mą głowę między swoje piersi, daj mleczka gęstego spragnionemu. Wizerunku Boga, przystani samobójców, chcę wypłakać na Tobie całe moje życie. Masz twarz i mleczne ciało profesorki matematyki. Kocham cię za to, że wierzysz w moje słowa. Nie obejmę Cię całej rękoma — taki jestem karzelek mizerota. Ukryj mnie w sobie. Ty, która wszystko potrafisz, schowaj mnie do siebie. Będę grzechniutki — jak pudełek, ale pozwól w Tobie być, nie pozostawiaj samego...

22 IV 1980 L.

Uchroń, Boże, od sądenia aparatu zarządzającego gospodarką państwa. Bo czym ów aparat zarządza? Gospodarka stoczyła się na samo dno nierentowności, deficytu, bezproduktywności. Jest jak gardziel bez dna, w którą wciąż trzeba lać, a która odpłacić się tym samym nie może, złożona paraliżem, zatruta, drgająca ledwie w konwulsjach, bezwstydnie naga, blada, bezbronna, posiniaczona od zadawanych rązów.

Utopiliśmy w butelce narodowe poczucie godności, sprzedaliśmy własną historię, durząc się w bajaniach o powszechnym dobrobycie. Tymczasem nie tylko odebrano nam wolę i zdolność do rozsądnego oceniania biegu zdarzeń, ale pozbawiono — kształtowane przez tysiąclecie — kultury narodowej, odbierając minimum środków konsumpcyjnych, niezbędnych do egzystencji. Dzięki temu narodowy aspekt życia sprowadzony został do kategorii konsumpcyjnych; wszystko, co wzniosłe, rozmiennione na chleb i mięso. Polacy rozpięchli się do kolejek...

Co z tego, że zlikwidowano karczmę? Dziś na każdego obywatela w wieku produkcyjnym przypada statystycznie 100 g czystej wódki codziennie, 100 g dla mężczyzny, 100 g dla kobiety, 50 g dla dziecka — co dnia. Na Boga, jak to się stało, że my jeszcze żyjemy? Czy to rzeczywiście jesteśmy jeszcze my?

29 IV 1980 L.

Życie moje jest cholernie sprymityzowane. Spoglądam za siebie i widzę, że nie właściwie nie uczyniłem takiego, co predystynowałoby mnie do roli, jaką w głębi duszy przywłaszczyłem sobie — człowieka nieprzeciętnego. Dzień schodzi mi na bezmyślnym trawieniu przeterminowanych informacji. Robi mi się mdło, kiedy spoglądam na ogrom kalektwa i ubóstwa ludzkiej myśli. Nie należę do świata ufrazowanego, nie jestem pudlem. Obok mnie bankrutuje światopogląd kilku pokoleń. Ale musi odejść, aby człowiek jeszcze raz mógł zdecydować o swoim losie sam; człowiek najszerszej pojęty — z ulicy, nie w pełni świadom wagi swego głosu i życiowej siły. Światopogląd musi być ewoluowany, i to od podstaw. Nie wolno mu stać nad człowiekiem w interesie elity rządzącej. Warunki bytowania zmieniają wartości pojęć absolutnych. Dobra, zła, szczęścia, prawdy nie ofiarował nam Bóg ani żaden system religijny czy społeczny. Model abstrakcyjny naszej wyobraźni jest podporządkowany naturze rzeczy, jakiej doświadczamy. Nie, co abstrakcyjne i absolutne, nie zostało człowiekowi nadane w jakimkolwiek akcie stworzenia, a jeśli nawet, to kategorie owych absolutów określają rzeczywistość ich wartość i przydatność, zaś człowiek myśli kategoriami realnymi.

Życie schodzi mi na ępaniu drobnego chleba. Nie dorosłem nawet do mego modelu świata. Siedzę, czytam, piszę, jem, śpię, mówię. Powoli tracę poczucie rzeczywistości. Nie pamiętam, co robiłem wczoraj albo przedwczoraj. Myślę, że to samo, co dziś. Nic. Żyję. Żyję.

30 IV 1980 L.

Przedpierwszomajowe zebranie maturzystów. Dyrektor odstawił krótką mowę: jutro mają być wszyscy obecni — nie ma żadnych zwolnień — zbiórka o 11.15 przed szkołą. O konsekwencjach nie było ani słowa.

Wicedyrektor nawijał bardziej rzeczowo — o maturach. Podał terminy egzaminów i konsultacji, godziny ogłoszenia wyników.

W pełnym składzie „czwartej A” spotkamy się więc jeszcze trzykrotnie: na maturze z polskiego, z matematyki i w dniu rozdania świadectw. Jakież to banalne. Tak prosto, tak zwyczajnie skończy się czteroletni rozdział mego życia. Pewnie podamy sobie dłonie, wypowiemy jakieś pierdułkowane formułki, życzymy sobie wzajemnie powodzenia, może coś jeszcze wspólnie wypijemy. I to już będzie wszystko.

ZBIGNIEW DYLEWSKI
Kielce
Fot. GABOR LÖRINCZY

spiećcia



„Kiedy nadeszła kolej na moja dziesiątkę, woźny wprowadził nas do wnętrza. Było to ohydne, jednoizbowe pomieszczenie. Na nędznym wyroku wilo się w konwulsjach kilkoro dzieci. Emaliowane tabliczki na ścianach informowały: »Prosimy palić i płuć — i tak już nie nie zaszkodzi« oraz: »Drzwi nie zamykać — po co?«” Jest to fragment opowiadania Sławomira Mrożka „Współczucie”, ale równie dobrze mógłby on być charakterystyką poczekalni łomżyńskiego Zakładu Ubezpieczeń Społecznych przy ul. Wiejskiej 8.

☆

Mieszkańcy gminy Łomża mają nadzieję, że świeżo wybudowana przez nich żuźlowa droga (ku zaskoczeniu naczelnika) nie urwie się nagle na granicy gminy Sniadowo.

☆

Od dawna dręczący nas pytanie, co leży u podstaw tradycji wiskania na siebie młodzieżowych strojów organizacyjnych w wc, po przebyciu drogi z rodzinnej miejscowości do stolicy kraju czy województwa na plenarne obrady — wiek działaczy czy nieświeżość okazjonalnej garderoby?

☆

W gonądzkiej restauracji serwują kielbasę na sztywno (z zimna), ponieważ lokal ogrzewany jest ciekaknymi kaloryferami.

☆

Wszystkie miasta w województwie pocieszamy, że Rejon Dróg Publicznych w Łomży nie dotrzymuje także warunków umowy wobec Wizny, podpisanej w roku 1978 na remont ulic w tym miasteczku.

☆

Niepokoimy się, czy powrócił już za swoje biurko dyrektor Banku Spółdzielczego w Zawadach, który w dniu 13 stycznia br. wyszedł na bardzo długą chwilę i nikt z pracowników nie mógł podać miejsca jego pobytu.

☆

Nasi korespondenci donoszą, że Kossaki Nadbielne (gmina Rutki) przywykły do popularności. Aby nie wypaść z obiegu — dwaj mieszkańcy wsi, Waclaw K. i Jan M., wyprawili się do sąsiada ze wsi Pruski Wielkie i dali mu nauczkę za to, że ośmielił się mieć inne zdanie. Przy okazji zwymyślali jego matkę, a za upór pchnęli ją tak skutecznie, że się boleśnie potłukła. Tej walce o popularność przysłała się aż pięciu świadków pici męskiej, którzy postanowili nie przyznawać się do zwiększenia sukcesu krewkich sąsiadów.

☆

W Janczewku (gmina Jedwabne) GS rozprowadza mieszankę dla ciał z pożywką pa. „Manomix” z datą produkcji: październik 1979, ale i z terminem gwarancji na ten sam rok. Do urzędniczki sprzedającej mieszankę nie trafiają żadne argumenty; nie dostrzega nawet grubkowatości oferowanego produktu. Przypomina to żart o człowieku, któremu wszyscy wierzyli, że go nie ma w domu, bo sam im to przez okno mówił.

☆

Ogłaszamy nowe rekordy łomżyńskie: na czas równania spychaczem prostokąta o rozmiarach 10x20 metrów (już półtora miesiąca, a końca roboty nie widać), na upór w bezproduktywnym marnowaniu paliwa i na wytrwałość w niechęci do pozostawania w kabinie, manifestowaną przez operatora tegoż spychacza przez 6-7 godzin na zmianie. Wszystkie te rekordy osiągnął dla swojej firmy pracownik Łomżyńskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego na osiedlu Południe. Gratulujemy!

9

KONTAKTY
1 III 1981



naszego Boga

(Inaczej:)

— Grunt to kalkulacja, panowie. Grunt to obliczenie. Wewaliliście wszystek węgiel przedtem, to teraz szczykajcie zębami!

(Inny:)

— Znikąd nie ma rozgrzewki. Ani z zewnątrz, ani od wnętrza. Chyba na kpiny nazwali to ogrzewalnią.

— A ty byś od wnętrza wolał!

— A ty nie? (Po chwili:) Zawszeć to godniejsze człowieka, co od wnętrza. Jedna, druga kropelka...

— Aaa, proszę, co za zachcianki.

Adam. Właściwie nie to jest najważniejsze, że wszedł. Był wśród nich już od chwili. Nic się nie działo wśród nich, co by nie działo się w nim. Ale teraz drzwi ustąpiły (bez trudu — w taki mróz!) i Adam uzyskał w oczach ten obraz, którym uporczywie żyła dotąd pamięć i wyobraźnia. Obraz wewnętrzny Adama — i wnętrza ogrzewalni. W tej chwili Adam jest porządnie ubrany, czarno. Szeroki kapelusz malarski, ciemny krawat. W ręce wlecze za sobą jakieś worki czy torby. Podszedł do najbliższej grupy. Odtąd przestrzeń wewnętrzna Adama, otwarta tamtym ludziom, wzbiera nimi. Rzeczywistość.

— Przepraszam. Może mnie sobie przypomniacie... Opatrzność zrzadziła, iż pewnego razu deszcz i wichura zagnały mnie do waszego schroniska...

Bracia, odtąd jakaś siła nagli mnie tutaj znowu. Ja nie mogłem nie powrócić tutaj. Na każdym kroku szła za mną wasza nęcza, bezdomność, wasz głód —

(Milczenie najzupełniej obojętne:)

ADAM: Nie wiedziałem, jak wrócić. Szukałem dróg. Szukałem środków. Dziś po raz pierwszy...

(Ktoś z tych, co najbliżej byli:)

— Czego chcesz? Nie masz gdzie kości położyć na tę noc — to już; tu jest miejsce. Nikt nikogo nie wygania, bo niczyje. Miejskie. Tylko się spiesz, bo mogą nadejść inni. W taki mróz nikt się nie szweda.

(Inny:)

— A może ty, braciszku, z lekka podwiany, bo gadasz jakby od rzeczy.

ADAM: Nie zrozumieście moich zamiarów. Nie przyszedłem mieszkać do ogrzewalni.

— No to się wynoś gdzie indziej. Nie przyszedłeś mieszkać tutaj, to czego od nas chcesz?

— Tylko ci, co tutaj mieszkają, mają prawo do naszych względów. Reszta to hołota.

ADAM: Ależ nie. Ależ nie. Przyniosłem wam coś niecoś z jedzenia i z odzieży. To od dobrych ludzi.

— A — dobrodzieje. I ty też dobrodzieje. A — to co innego.

Adam zaczyna wypróżniać torby i worki. Wyrzuca ich zawartość na legowisko pierwsze z brzegu.

(Tamten — patrzy z ukosa:)

— No i co z tym?

ADAM: To dla was.

— Dla kogo? „Dla was”. Lby sobie pourywają.

(Stąd i stamtąd:)

— Dla mnie!

— Tutaj płaszcz!

— Chleba. Nie jadłem nic od rana!

— Coś bym przetrącił!

— A! jest i rozgrzewka!

(Skądinąd:)

— Dobrzy ludzie! Dobrodzieje! (wyraźny zgrzyt).

(Z kąta:)

— Co tam za hałasy?

— Trzymaj gębę. Tu przynieśli zarcie i szmat.

— Kto przyniósł?

— A jakiś! Wygląda na traconego.

— Od kogo?

— Od dobrodziejów.

— Nie trzeba!

— To ci, którym chciałeś wybijać szyby.

— Chciałem i chcę. Inny się obezre, wysiedzi w ciepłe, a potem, jak już powydziiera i z dziesięć razy odłata — nuże żebrakowi. Dobrodzieje!

(Tymczasem młody człowiek do Adama:)

— Panie, nie wiedziałby pan o jakiejś pracy?

ADAM: Poszukamy. Nie zechce pan przyjść do mnie jutro? —

— Gdzie?

— Basztowa 1.

— Przyjdę z rana.

— Dobrze.

(Z kąta — z naciskiem:)

— He, ty! Stuchaj no, dobrodzieju od dobroczyńców, zabieraj się z tym wszystkim!

(W sąsiedztwie bezpośrednim Adama — z cicha:)

— Swoją drogą, pa-

nie, tu w oczy kole każdy porządnie ubrany, każdy niegłodny.

(Inny:)

— Mógłby o nas magistrat lepiej dbać!

(Inny:)

— A może zechciałby pan jakiś drobiażdżek z biżuterii?

(Inny:)

— Odwal!

(Z kąta uporczywie:)

— No, słyszysz, zabieraj się, mówię, bo wstanę. Zabieraj się, pókim dobry.

(W pobliżu:)

— Panie, mnie by potrzeba jakiegoś palta.

ADAM: Postaram się następnym razem.

— Czekaj tātka łatka!

(Inny:)

— Będzie na drugą zimę, jak wyciągniesz kikuty.

(Też z kąta wstał:)

— Mówię ostatni raz. A wy rozumiecie, hołoto! Jak wam kto w gębę napluje, to też weźmiecie. Siedzi to draństwo po pałacach, wygrzewa się, baluje, kpinkuje, przepija od czasu do czasu likierem: a jak im od czasu do czasu wyobraźnia przyjdzie, to ci rzucą ochlap. Szmatę znoszoną albo spleśniały chleb. A ty się kłaniaj, nazywaj dobrodziejami i całuj ręce.

A to jest wszystko jedna sprawiedliwość i krzywdą. Rozumiecie?

Za co tamten chodzi w garniturze i pod krawatem — a ja nie mam czym grzbietu zastłonić? Dość, dość. Niech lepij znikną z oczu.

Z kąta pomruk.

Adam spuścił oczy, milczy jak smagany. Wszystko odnosi do siebie.

(Tamten:)

— Lepiej odpluć im tym samym, czym splunęli na was. Ludzie porozbierali już przyniesione przedmioty. Przymierzają.

(Tamten z kąta — przeskoczył teraz tak jak stał na środkową prycę:)

— Zebyś się nie tknął żaden! No rozumiecie! Bo pozabijam!

Już jest wokół niego kilku innych jak mur.

— No rozumiecie! Niech wszystko pozabiera z powrotem. Więcej to warte niż pierwszy lepszy strzęp.

(Stamtąd i stamtąd:)

— Trzymaj gębę. Nie oddajemy.

(Wtedy on zaczyna walić na lewo i na prawo jakąś łagą).

— A hołota żebracka! Scierwo!

Uginają się wokół niego. Któryś uśtuje go zepchnąć z ławy. Ułapili go za gołotę —

— E, bo i my potrafimy!

Teraz ktoś uchwycił za koniec łagi. Zaczynają się stę szamotoć.

ADAM: (patrzy przerażony. Uśtuje coś powiedzieć. Opadają mu ręce:)

— Bracia, bracia. Złście mnie zrozumieć. (Głośniej:)

— Złście mnie zrozumieć!

(Krzyk znad głowy:)

— Won, won!

Adam odsuwa się, zostawiwszy wszystko w nieładzie. Teraz jest sam, tylko w sobie nosi pełny obraz tego szamotoć i zgłęb. Słyszysz, jak tętna biją, wyczuwa tępy uścisk ciemienia. Ból rozdarcia pogłębił się poczuciem bezradności —

2. — W tym czasie światło latarni znajdującej się opodal rozdzieliło wyraziście jego cień od samej jego postaci. Adam odczuwa to jako uobecnienie kogoś obcego. Odczuwa, że nie jest sam. Pomiędzy nim a „uobecnionym” nawiązuje się taka rozmowa (która cała przebiega w atmosferze napiętego skupienia).

Nie wiadomo bowiem, czy to rozmowa z samym sobą, czy rzeczywiście z kimś odrębnym.

„TAMTEN”: Nie jest rzeczą zbyt łatwą odróżnić myśli własne od tych, co przychodzą z zewnątrz.

„ADAM”: To znaczy —

— To znaczy, że w pewnym położeniu należy uznać za własne pewne odruchy, a nie doszukiwać się ich przyczyny poza sobą.

— Czy ktoś drugi może tak szczerze przykładać swoje myślenie umyślem a myślą podsuniętą. Odstęp lub przerwa...

— Zapewniam cię, że nie. Rozmowanie twoje jest najslusniejsze w świecie.

— A do czego prowadzi? —

— Do nieprzeceniań sił.

— Do czego?

— Do odsunięcia szaleńczych przedsięwzięć!

— I do czego jeszcze? —

— Do odwrotu! —

Widzisz, to wszystko ma sens o tyle, o ile. Cóż poradzisz na złą wolę, na upór? Zostaną tym, czym chcą pozostać. Nie będzie w tym twojej winy.

— Rozmowanie twoje jest najpoprawniejsze w świecie —

— Widzę, że mam do czynienia z człowiekiem rozsądnym, który nie porywa się na nadludzkie...

— Dzięki rozmowom tak poprawnym, jak twoje, idziemy coraz głębiej na dno. Ale zaraz: „jak twoje” czy „moje”. Ale jeśli „twoje”, to czyje? Przecież nie mam tutaj nikogo —

Tylko na dalszym planie jakiś człowiek oparty bezwładnie o latarnię.

— No oczywiście. Nie zaprzataj się tym. Myśl tak: przecież ja nie jestem kariatydą świata. Jestem inteligencją, której całym zadaniem — wydobycie właściwy obraz świata, o resztę nie troszcząc się zupełnie.

Myśl tak! Ty również jesteś inteligencją. Zatem podlegasz prawom inteligencji. Wystarczy, jeśli zatrzymujesz obraz świata w twojej myśli. Nie masz żadnego obowiązku podkładać pod jego ociążały kadłub twoich bark. Są zbyt znużone.

— Doprawdy nie wiem, czy myśli te są moją własnością, czy też podpowiada mi je ktoś —

— Nie chcę ci ciążyć. — Zostań sobą. Dokończ rozpoczętych płócien. Potem — zrób wystawę. Cóż możesz uczynić innego? — Owszem, radzę ci — nie powracaj nigdy do ogrzewalni, jeśli nie chcesz zaszkozić!...

— Komu?

C.D.N.



W drukowanym na naszych łamach cyklu (opartym na autentycznych, dotąd nie publikowanych dokumentach) o łomżyńskim więzieniu nastąpiła przerwa. Wynikła ona z chęci poszerzenia prezentowanych Czytelnikom wiadomości o Łomżyńską końca XIX i początku XX wieku. Sięgnęliśmy w tym celu do zbioru dokumentów Zarządu Łomżyńskiego Policmajstra, będącego składnicą wiedzy o wszystkich dziedzinach życia miast. Dokumenty udostępniła Danuta Godlewska, dyrektor Oddziału Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Łomży.

Z obszernego zbioru wybrano „na pierwszy ogień” teczkę oznaczoną numerami 157, 158. Zawierają one — drukowane przed bez mała 80 laty — obwieszczenia, telegramy, ogłoszenia, zawiadomienia, z których wynika ni mniej ni więcej, tylko tyle że rewolucja 1905 roku trwała do roku... 1911!

I gdzie tu rewelacja? — zapyta ktoś. Wiadomo przecież, że procesy społeczne trwają latami. Zastrzeżenie jest słuszne pod każdym względem. Gdyby jeszcze podchodzili tak do sprawy podręczniki historii, encyklopedie, leksykony... Tam przyjęto, że rewolucją było to, co zaczęło się w maju i skończyło w grudniu 1905 roku.

A przecież nie się nie skończyło. W Polsce wrzało nadal aż do następnego wybuchu.

Dnia 2 maja 1905 na murach więzienia, w wszystkich czterech latarniach w centrum miasta i słupach ogłoszeniowych pojawiło się obwieszczenie następującej treści: „Zbieranie się i zatrzymywanie przy murach więziennych, wszczynanie jakiegokolwiek rozmów z więźniami i wszelkie prozumiowanie się z nimi za pomocą umówionych znaków surowo wzbronione. Za niewykonanie tego winni podlegają, stosownie do rozporządzenia General-Gubernatora Warszawskiego z dnia 24 lutego 1905 aresztowi do 3 miesięcy lub grzywnom do 500 rubli. Podpisal — policmajster von Frankensztejn”.

Należy podejrzewać, że i poprzednio obowiązywał ten sam zakaz. Dlaczego nagle w maju zdecydowano się na nadanie mu drukowanej formy i wywieszenie w miejscach publicznych? Powoływano się przy tym, co na pewno daje się zauważyć nawet przy pobieżnej lekturze dokumentu, na rozporządzenie samego generał-gubernatora!

Przez przywiślański kraj przeszły wronia. W guberni łomżyńskiej 9 lutego zniszczono tablice urzędowe z godłami carskimi i napisami oraz wybito szyby w szkołach początkowych — z programem uczącym służby dla chwały najjaśniejszego pana — we wsiach Norkowo i Korzeniste. W kilka dni później ogłoszono strajk szkolny. Chłopi zaczęli zdecydowanie domagać się nauczania w języku polskim. Takie postulaty sformułowano m.in. na zebraniu gminnym w Szczuczynie; podnosili je również mieszkańcy Drozdowa. W marcu wsię Mątwa, Rakowo-Stare, Rakowo-Boginie, Krzewo, Olszany złożyły w tej sprawie oficjalne pisma do władz. Łomżyńskie więzienie zapelniało się politycznymi. I stąd, aż tak mocne, zarządzenie.

Nie chodziło o „elementy i warcholów”, jak to w raportach do dworu usiłowali przedstawić usłudzy notabile. Chodziło o korozję całej struktury, opartej na nakazowo-dyrektywnym zarządzaniu sprawami państwa, wspartym na suwerenności monarchii. Sposób sprawowania władzy był tożsamy z wymianą informacji. Z gmin pisano do guberni, z guberni do władz wyższych. Od tego, jak pisano i o czym, zależała ocena piszących i — związane z nią awanse, nagrody, wyróżnienia. Więc pisano pod te profity. A zdarzenia następowały jedne po drugich.

W dniu 5 listopada rozlepiono w miastach całej guberni obwieszczenie (cytaty w oryginalnym brzmieniu wersji polskiej): „Wypadki ostatnich dni świadczą dowodnie, iż nadana obywatelom swoboda obraca się w rzeczywistości w dzikie wyuzdanie. Dobrze urządzona i nie pozostająca w tyle za wieloma europejskimi centrami Warszawa zmieniła się teraz w miasto, w którym zamartwiał bieg normalnego życia. Nieokielzna na przemoc — nieszczęście przez

większość pochwalana, wstrzymała handel, przemysł, ruch kolowy, pozbawiając zarobku tysiące osób oraz obejmując paniką spokojnych mieszkańców. Ludność lekkomyślnie porzuca swą pracę zawodową, tłumnie postępuje za przywódcami, pociągając w większości przypadków pieśniami rewolucyjnymi, sztandarami, godłami, postuszną ich celom partyjnym. Zebrania te zatrzymują się w wielu miejscach, zapelniają ulice i chodniki. Zbierający się [...] słuchają różnych mówców, którzy korzystają z małoduszności swych słuchaczy w większości wypadków wpajających w ich umyśle niedoścignione myśli i plany przeważnie wyuzdanej treści anarchicznej. Tłum, nie zdając sobie sprawy, w jaką przepaść popychają ją fałszywe lub egzaltowane mowy tych demagogów, oslepieni, przyjmują je oklaskami. Lecz nie lepszy wzięty obrót sprawy na zebraniach publicznych, gdzie przeważnie zbiera się klasa inteligentna. Rząd ufając powołanemu do nowego życia swobodnego społeczeństwa, nadal swobodę zebrań. Jednak pozwolone przez władze miejscowe mityngi nie były przedmiotem spokojnej zmiany myśli z powodu poważnych wypadków politycznych, lecz służą do płomiennych mów skierowanych przeciw tylko co ogłoszonej reformie konstytucyjnej i podburzają ogół do nowych nieporządków, a więc do nowych nieszczęść i ofiar. Ze szczerym żalem widzę, że każdy ubiegły dzień przynosi nowy ferment. Będąc odpowiedzialnym za stan rzeczy w Królestwie Polskim, a że ja nie widzę najmniejszego usiłowania ze strony społeczeństwa polskiego w celu potożenia tamy wyżej wymienionym nieporządkiem, mocą wypadków zmuszony jestem podać do ogólnej wiadomości: Ze na mityngi i wszelkie wiece mogą być udzielone pozwolenia jedynie w lokalach zamkniętych. Na ulicach, placach i otwartych miejscach żadne zebranie nie będzie dopuszczalne, a urzędzone samowolnie bądź rozpraszane siłą. Jeżeli zaś na pierwszym, poczynając od dnia jutrzejszego mityngu, urządzonym za pozwoleniem władzy właściwej w lokalu zamkniętym, będą wygłaszane mowy przeciw istniejącemu państwowemu lub społecznemu urzędzeniu, to nadal, do uspokojenia się ludności miejscowej, żadne zebranie potem pozwolone nie będzie. Wszel-

kie pochody wzbronione zostają od dnia jutrzejszego. Jednocześnie wydałem rozkaz do wojska, żeby po trzykrotnym uprzedzeniu tłumu o rozejście się przystąpić do działania bronią”.

Odezwę podpisał generał-gubernator; w miejscu, gdzie figurowało nazwisko, druk jest tak postrzępiony, że nie można odczytać ani jego stopnia, ani familii.

Wezwania i groźby nie na wiele się zdały. Już 12 listopada 1905 roku szambelan dworu jego cesarskiej mości, gubernator łomżyński, baron Korff, obwieścił: „Na mocy najwyższego ukazu z dnia 11 listopada ogłoszony został stan wojenny między innymi guberniami tutejszego kraju a gubernią łomżyńską. Na mocy tego Warszawski General-Gubernator przysługujące mu szczególne prawa naczelnika wojennego i obowiązki organów administracyjnych co do ochrony porządku państwowego i ogólnego spokoju, przekazał dowódcy 6 korpusu armii, generał-lejtnantowi Grybskiemu, z wyjaśnieniem, że winni przekroczenia wydanych postanowień obowiązujących będą karani... zgodnie z przepisami obowiązującymi dla terenów stanu wojny”.

W tym samym dniu nowy gubernator wystąpił z odezwą do ludności. „Z rozporządzenie General-Gubernatora Warszawskiego ja z dniem dzisiejszym wstąpiłem w obowiązki tymczasowego generał-gubernatora guberni łomżyńskiej. Podając do wiadomości ludności guberni, uważam za swój obowiązek wskazać, że nominacja moja na generał-gubernatora wkłada na mnie ogromną odpowiedzialność za utrzymanie w guberni prawnego porządku, spokoju i bezpieczeństwa osobistego i majątkowego i dlatego ja wszelkimi środkami pozostającymi w moim rozporządzeniu z całą surowością prawa, będę karać za zakłócanie spokoju i targnięcie się na osobistość lub majątek każdego mieszkańca, a masowe nieporządki będą tłumić siłą zbrojną.

Najmiłościwszy Manifest z d. 16 października nadal najdroższe dla każdego obywatela swobodę osobistą, słowa, sumienia, jak również prawo kontrolowania przez przedstawicieli

narodu praw państwowych, lecz do tego aby dobrodziejstwa te były wprowadzane w życie trzeba by ludność sama poznała wartość i konieczność zachowania zupełnego spokoju i porządku [...]”.

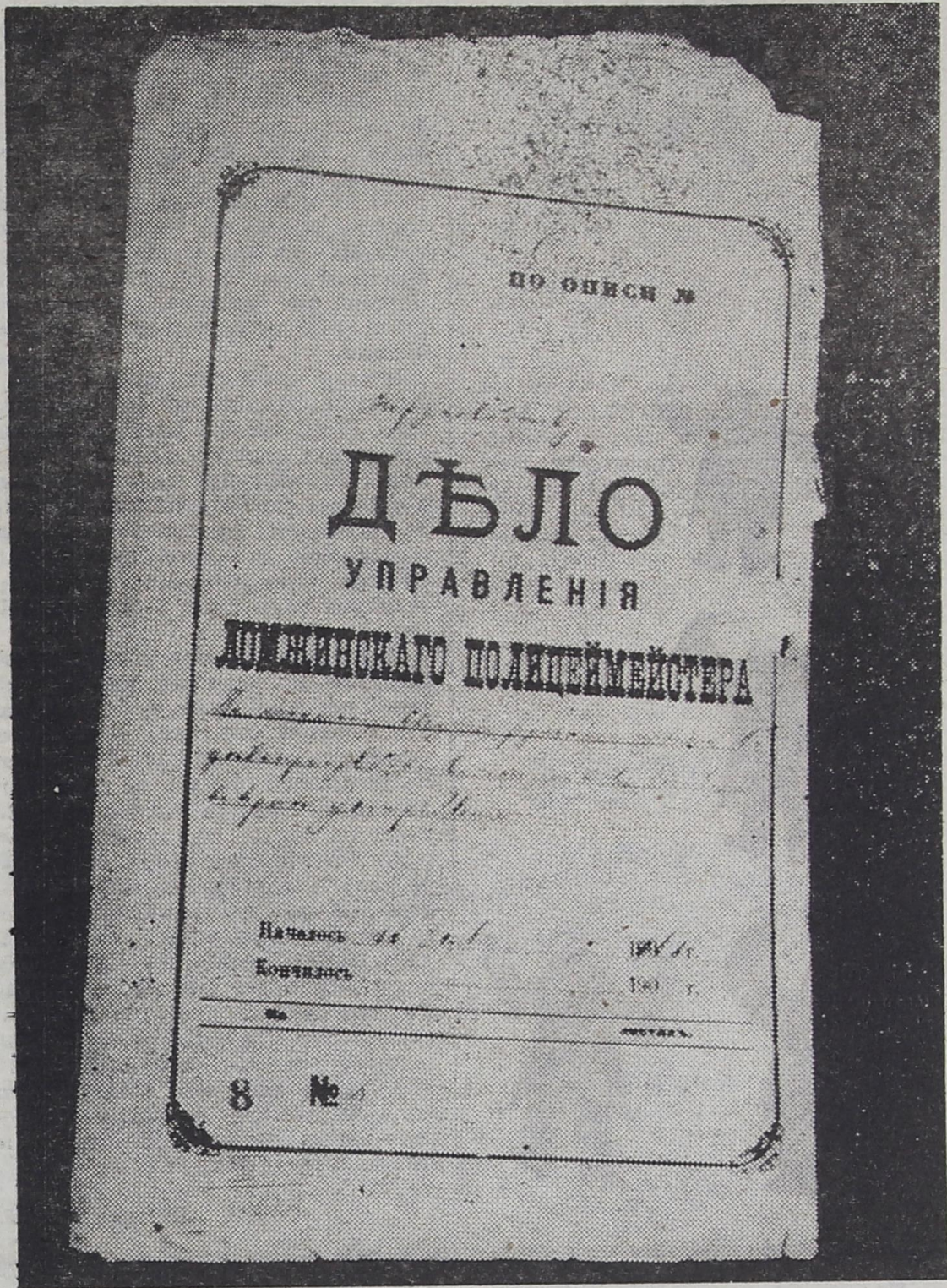
Z dalszych dokumentów wynika, że władza nie potrafiła już zrobić nic skuteczniejszego poza drukowaniem zakazów i nakazów. Dnia 17 listopada generał-lejtnant Grybski parał wykaz postanowień obowiązujących. Poza tym, przypomniał co zostało już zakazane i zabronione w dokumentach nadesłanych z centrali. Czytamy w nich: „Wzbronione [jest] wygłaszanie mów i wszelkiego rodzaju agitacji ustnie czy za pomocą słowa drukowanego, lub też innym sposobem, przeciw istniejącemu porządkowi państwowemu, lub skierowania do uchylenia się od spełnienia ciężarów państwowych i społecznych, strajków, zamknięcia handlowych i przemysłowych zakładów, lub w ogóle do pogwałcenia spokojnego i zwykłego trybu życia ludności. Mówcy i agitatorzy podburzający ludność do powstania lub sprzeciwienia się władzy będą oddani pod sąd wojenny [...] Zabrania się usuwania z gmachów rządowych herbów państwowych i szyldów w języku rosyjskim [...] Nie wolno nosić przy sobie noży, kastetów i wszelkiego rodzaju broni białej. Zabrania się urządzania, noszenia przy sobie i rozrzucania na ulicach a także w prywatnych mieszkaniach bomb, petard, osków, żabek i wszelkiego rodzaju przyrządów wybuchowych. Wraz z osobami obwinionymi w pogwałceniu niniejszego zarządzenia, będą pociągani w drodze administracyjnej do odpowiedzialności z mocy niniejszego postanowienia właściciele domów, rzędcy, lokatorzy, każdy z osobna, w domach i lokalach, w których będą przyrządzane bomby i inne przyrządy wybuchowe [...]”.

W dniu 17 listopada na terenie guberni łomżyńskiej obowiązywały już całe mnóstwo zakazów i nakazów. I z każdym nowym obwieszczeniem na murach miast pojawiały się nowe, bardziej szczegółowe dyrektywy dla narodu. W datowanym właśnie 17 listopada kolejnym obwieszczeniem generał-lejtnant Grybski zwraca się do łomżan tymi słowami: „pozostawiając w mocy swojej ogłoszenie do ostatniej chwili z powodu stanu ochrony wzmocnionej postanowienia generał-gubernatora warszawskiego, a mianowicie z dnia 22 lutego i 24 lutego, 18 marca, 27 czerwca, 29 lipca, 29 sierpnia, 3 września, 16 i 22 października i gubernatora łomżyńskiego z dnia 7 marca br. — ja (generał-lejtnant Grybski) na zasadzie I artykułu przepisów o ochronie państwa podaję do ogólnej wiadomości (tu generał przypomniał wszystko to, co zostało już napisane i zakazane przez naczalstwo): „Zabrania się bez zastępowania na uwagę przyczyn wstrzymać handel, jednocześnie zamykać w miastach i punktach zaludnionych wszelkie zakłady handlowe z mięsem, chlebem, produktami spożywczymi i innymi przedmiotami pierwszej potrzeby, a także zaprzestania dostarczania wody tam, gdzie woda dla mieszkańców dostarczana jest przez wodociągów lub innym sposobem”.

Listy generałów do narodu są wspaniałym materiałem dla antropologów kultury, politologów, cybernetyka badającego mechanizmy władzy, psychologa społecznego, wreszcie teoretyka propagandy. Przecież większość z cytowanych dokumentów to nic innego, jak: celowe, perswazyjne „oddziaływanie na kształtowanie ludzkich postaw w celu wywołania porządknych zachowań” — że zacytuje klasyczną definicję przedmiotu. Fascynuje stosunek władzy do obywatela w sytuacji konfliktowej i logika tego konfliktu, który odłożony na jednej płaszczyźnie, wybucha na innej. Władze carskie, reprezentowane przez urzędnika noszącego tytuł gubernatora czy gubernatora stanu wojny, reagowały w sposób uświęcony tradycją — formułując dyrektywy i groząc woją, w sposób niewykonanie.

TERESA POLECKA
MIKOŁAJ JEDNACZ

Reprodukcja Ryszard Biechociński



bez prezentera

Polscy zapowiadacze płyt z rodzimych dyskotek podnieśli — na fali odnowy — krzyk i chcą uchodzić za artystów. Chodzi tu przede wszystkim o pieniądze, czyli o takie stawki, jakie otrzymują aktorzy i piosenkarze, a więc o wypłatę np. sumy za recital, która przysługuje chociażby Młynarskiemu. Zapowiadacz płyt, z angielską *disc jockey*, jest to w teorii (a u nas pod tym względem jesteśmy wyłącznie na etapie teorii) gość zabawiający młodzież prezentowaniem kawałków do tańca, i do tego tańca za wszelką cenę i wszelkimi sposobami zachęcający. Kiedyś była modna rola wodzireja; taki pan był rozchwytywany przez organizujących bale i wieczorki tańcujące, zresztą wodzirejów mamy ostatnio jakby coraz więcej, choć nie zawsze o muzykę idzie.

Rozwój przemysłu fonograficznego spowodował, że „żywe” zespoły poszły w kąt, przynajmniej te najgorsze, bo przecież lepiej mieć z płyty otworzony zespół „Boney M” niż przygrywający na scenie jakiś „Kwadrat” czy coś innego. Moda na dyskoteki rozplenila się, wzorem krajów Europy Zachodniej, niemożliwie, więc teraz prezenterzy płyt — na fali mody — chcą zarabiać jak gwiazdorzy. Ale najczęściej mówi się o szmalu, nie zaś o tym, że w większości dyskotek wytrzymać nie sposób z przyczyn infantylnego prezentera, silącego się na dowcipy i w sposób idiotyczny komentującego poszczególne kawałki.

Jeden ze znanych publicystów muzycznych stwierdził, iż autentycznym wodzirejem czy prezenterem byłby Rosiewicz lub ktoś inny, ale oni mają inną robotę, za którą też inaczej są wynagradzani. I zupełnie słusz-



nie. Gdyby Rosiewicz bawił w dyskotecce, pozwoliłbym mu mówić do ludzi przez mikrofon, ponieważ zaś bawi tam ktoś inny, jestem przeciwko megalomańskim wymaganiom.

W Warszawie działa komisja, której zadaniem jest weryfikowanie prezenterów, czyli określanie, ile taki pan może wziąć pieniędzy za jeden blok dyskotekowy. Ale — jak to zwykle u nas bywa — do sprawy wzięto się od końca. Otóż nie ma żadnych kursów, szkolek czy też innych form kształcenia naszych zabawiaczy, większość z nich nigdy nie widziała bogatej, nowoczesnej dyskoteki za granicą. Skąd więc taki delikwent ma wiedzieć, jak się to robi? A więc pracuje według własnego uznania.

Istnieje duże niebezpieczeństwo w dawaniu człowiekowi mikrofonu do ręki. Efekt czasem przypomina konsekwencje zabawy dziecka z zapalnikami. Przedłużenie ręki o nóż, nogi o ostrogę, gardła o mikrofon — może najczęściej przynosić wyłącznie nieszczęście. I myliłby się ktoś twierdząc, że istnieje różnica w skutkach płynących z tych przedłużeń.

W czasach masowych ankiet i plebiscytów na wszelkie tematy nikt jakoś nie pokusił się o zrobienie ankiety wśród tańczących w dyskotecce młodzieży na temat użyteczności prezentera tamże. Bo tak na zdrowy rozum: jeśli chcą potańczyć przy muzyce, na którą w mojej domowej płytotece mnie nie stać albo takowej w ogóle nie posiadam, nie muszę wysłuchiwać ryku mikrofonu, który informuje mnie — najczęściej w fatalnej angielszczyźnie — kto śpiewa daną piosenkę i jaki jest jej tytuł. To jeszcze mało: nie muszę wystuchiwać dowcipów i dedykacji, informacji o pogodzie na Jamajce itd. Nie muszę właściwie słuchać niczego. I w zasadzie — widząc miotającego się za konsolą koleśia — nie muszę nawet słuchać muzyki.

JAN JANUSZEK

odór kłamstwa

Działaczka „Solidarności”, znajoma, zapytała mnie w towarzyskiej rozmowie we wrześniu, jak się tam teraz czuję (tam, to znaczy — w komitecie). Zauważyłem w jej pytaniu ton litościwy, odpowiedziałem więc dość impetycznie, że jako partyjniak czuję się bardzo dobrze, lepiej niż przed sierpniem, bo powracają czyste wartości. I jeszcze: że dla mnie znalezienie się w partii było kiedyś sprawą zupełnie naturalną, bo w takiej wyrosłem tradycji rodzinnej. Przyjęła tę odpowiedź z pewnym zaskoczeniem, ale i z szacunkiem.

Niewiele mówiłem; tyle tylko, że inaczej patrzę na swój związek z biurokracją partyjną. Chodziło mi o to, by zwróciła uwagę, że partią są przede wszystkim organizacje podstawowe, to, co Rakowski na VII Plenum nazwał bazą partyjną.

Być partyjniakiem dla mnie, szczególnie dziś, to znaleźć się u partyjnych podstaw. A to oznacza też: opowiedzieć się w partii przeciw wyobcowaniu jej „urzędów”. Bo już „starzy” naszej myśli czerwonej, których pisma przeniesiśmy w stan omijanej w bibliotekach oficjalności, przestrzegali przed niebezpieczeństwem oddzielenia się socjalizmu organizacji sprawującej władzę od socjalizmu ogólnej organizacji społeczeństwa. I czy to się nie sprawdziło? Rozszczępienie dramatyczne, i w partii — masz jego analizę (w innych słowach) w mowie Rakowskiego.

Siła partii to jej podstawowe organizacje, a nie instytucje (nie mówię „instancje”, bo to często, jak nasza wojewódzka starowolska, to tylko tympanon instytucji). Ale tych organizacji niektórzy, co chcą tylko innych ustawiać, najzwyczajniej się boją!

Ja sam jestem jeszcze zmęczony. Także po kryzysie odporności — przeszedłem go w sierpniu i potem nie miałem czasu odetchnąć (coś podobnego zdarzyło się kilku moim kolegom). Wynikło to chyba stąd, że jednak zaskoczyły mnie rozmiary kłamstwa i zbił z nóg jego odór...

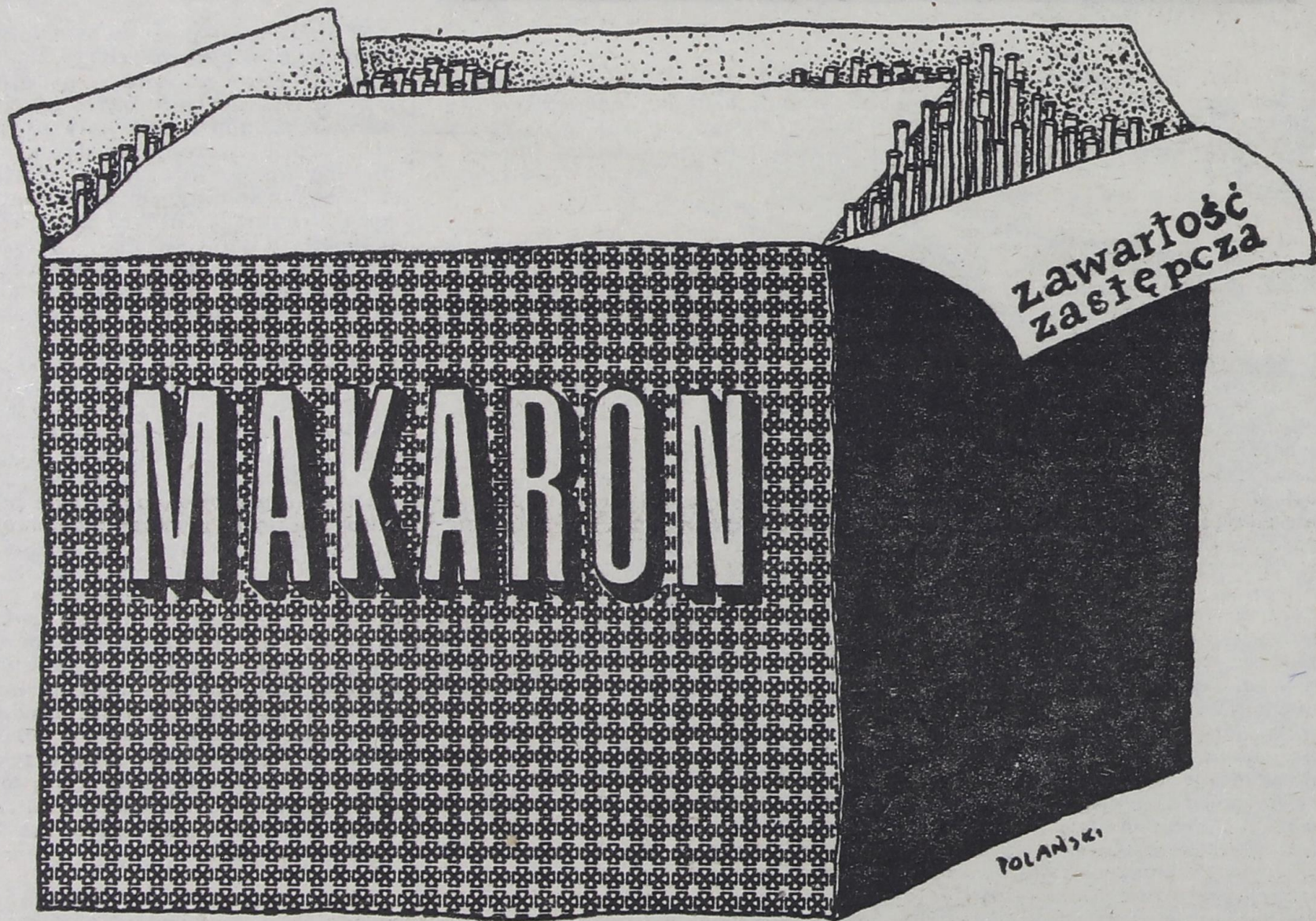
Wtedy też powiedziałem sobie, że nie mogę przekonywać innych do czegoś, czego klarowności sam nie widzę. Zobaczyłem, że zduszenie w sobie niepokoju wedle nadużywanej przez hierarchów tej idiotycznej, uprzedmiotowiającej urzędnika partyjnego „dyspozycyjności” może się odbijać po prostu na moim zdrowiu. Do tego jeszcze podtruło mnie kilka rozmów — w jednej drobny psycholożcio-polityczek uświadamiał mnie: „Wiesz, rzecz nie w tym, żeby mówić, co się myśli, tylko trzeba poznać szefa i wchodzić w jego słabości; nawet się nie połapie, gdy podawać zacznie jako swoje to, za co cię wcześniej mógł beznać”. Pomyślałem wtenczas: gdzie partyjna lojalność i prostolinijność, których się na przełomie siedemdziesiątego i siedemdziesiątego pierwszego uczyłem od kilku towarzyszy starej daty?

A na zebraniach w podstawowych organizacjach pod koniec sierpnia i we wrześniu musiałem, jako ten z KW, tłumaczyć się ze sklepiu w komitecie albo z szykowną gabinetów w nowym „pałacu” KW, gdy z planów spychane były szkoły i przedszkola; dlaczego składki partyjne idą na takie gabinety, to znówu z cichych przyjazdów zapobiegliwców do pegeeru po zakupy lub z tego, że sprawę domków nad rzeczką kontrolują ponoć ci, co działeczki te wcześniej przydzielili. To mnie dobiło i pytałem siebie: z jakiej racji? Dlaczego mam być, choćby formalnie, człowiekiem od osłaniania tych, co partię doją?

Bronić mogą tylko czystych racji partyjnych. Te są proste. Nie mogę dać sobie powodować stronnikiem żadnym manipulacji. To mój zwykły obowiązek wobec robotniczych nadziei w rodzinie.

ALEKSANDER WRONISZEWSKI

STANISŁAW KOTWICA



refleksje

**CZY
OKULISTA
WIDZI
W KOLORACH**

Nie wiem, skąd się bierze we mnie ta niedoskonałość. Pocieszam się, że to schorzenie społecznie przyrodzone i że nic na to nie poradzę, ale... Gatunkowo rzecz rozpatrując — powinienem cierpieć na krótkowzroczność i daltonizm. Zielone jest szare, czerwone jest szare, niebieskie jest szare. Jak to u niedowidzącego — rozmazane jeszcze, za lekką mgiełką. Tak by wypadło. Tymczasem ze mną jest trochę inaczej. Nie powiem, też typowe objawy daltonizmu: szare, szare, szare. Ale już nie tak jednoznacznie. Z tej strony szare obiektywnie, z tamtej idiotycznie. No i ewentualnie odcienie pośrednie. Czego jednak nikomu nie życzę.

Byłem kiedyś u okulisty. Powiedział, że mogę prowadzić samochód. — No więc jak jest z tym moim daltonizmem? — zapytałem. Na pewno zapytałem, bo i ja się zdziwiłem. Okulista jednak nie odpowie-

dział. Osobiście sądzę, że w tłumie ślepych widziałem i tak za dużo, żeby nie miał mnie potraktować ulgowo. Cóż dopiero tych, którzy mogliby widzieć w trzech, czterech lub więcej odcieniach. O prawdziwych kolorach nie mówię, ponieważ zakładam, że nie ma ich wcale. Jak wszystkiego zresztą, czego nie dostrzegamy lub nie chcemy dostrzec. Myślę, że kryje się za tym wszystkim jedno, bardzo poważne niebezpieczeństwo. Podejrzewam, że okulista też jest daltonistą. I że wobec tego nie ma on skali porównawczej. Nie ma chyba również samochodu. Tak więc my — zdając się na jego diagnozę — ryzykujemy, że już na pierwszym skrzyżowaniu nie rozpoznamy sygnału i wpakujemy się w najgłupszy, najbardziej naiwny sposób pod nadjeżdżający autobus.

REPORTER: Panie dyrektorze, my dzisiaj do pana nie jako do dyrektora banku spółdzielczego, ale przedstawiciela Społecznej Komisji Pojednawczej. Pan jest wiceszefem czy szefem tej komisji?

DYREKTOR: No, jestem, jestem.

REPORTER: Co się takiego dzieje we wsi Kossaki Nadbielne?

DYREKTOR: Jest nieporozumienie, no. Ale jeśli chodzi o to nieporozumienie, to chyba większość wsi powinna zdecydować o sprawie. Bo przecież nikt nie pójdzie kogoś rozsądzać. Sama wieś powinna chyba wyjaśnić sobie nawzajem, o co chodzi, a nie dopuszczać do takich strat. Mnie się wydaje, że należałoby jakoś dotrzeć do tej wsi chyba i porozmawiać z tymi ludźmi. Po prostu zapytać, czy zdają sobie sprawę, do czego może dojść. No, nie można sobie uświadomić, że ludzie w ten sposób myślą, że dla sporu to jeszcze inwentarz ucierniał i dochodziło do dalszych jakichś sprzeczek.

REPORTER: Pan starszy człowiek jest, nie? Dużo pan widział w życiu?

GOSPODARZ I: Panie, co będę gadał. Najlepiej jakby to mniej mówić i już. To jest, panie, łobuzy i tyje.

REPORTER: Trzeba zbadać sprawę, prawda?

GOSPODARZ I: No tak, tak. Ale nie ode mnie, panie. Ja stary człowiek, nie chce się wtrącać.

REPORTER: Boi się pan?

GOSPODARZ I: A co pan myśli?

REPORTER: Czemu pan się boi?

GOSPODARZ I: Wie pan, sam nie wiem, czego.

GOSPODARYN I: Nie trzeba drogi zaorywać... Nie trzeba się budować na drodze.

GOSPODARYN II: Trzy parafie...

GOSPODARYN III: Tak jest, pani Kotowsko, naprawdę pani tak fałszywie mówi, że ja nie chce...

GOSPODARYN I: Pijaństwa nie urządzajcie! Zrobiliście mi, o wczoraj, wywalili plot traktorem z jakimiś pijakami.

GOSPODARYN II: Ta jest droga taka główna, że trzy parafie, fura za furą, siano wiozą, a klną, pomstują.

GOSPODARYN I: O, akurat, trzy parafie!

GOSPODARYN II: Dlaczego tu woda zalewa drogę? Przecież nie kłamie.

GOSPODARYN III: Przy pani to nie dam rady nawet mówić, proszę pana.

REPORTER: Ile jest w ogóle we wsi gospodarzy?

GOSPODARZ II: Gospodarzy jest trzydziestu dwóch wszystkich. Jedni na swoją stronę, drudzy na swoją. No, my idziemy więcej tak za prawdą, to jest mniej więcej z dwadzieścia osób. Ta sprawa tej drogi, panowie, się ciągnie już dłuższy czas. Raz zebrania nie było, drugi raz, no i po...

REPORTER: Może to nie droga, lecz rzeka? Co to jest w ogóle?

GOSPODARZ II: To był rów i rów zawalił. Naczelnik gminy przyjeżdżał w tej sprawie i Urząd Wojewódzki, dali decyzję: doprowadzić tą wodę. To już się ciągnie trzy lata, szły pisma, i do Najwyższej Izby Kontroli pisano.

GOSPODARZ III: Kiedy była melioracja, to Konopka załatwił tak, że cały rów wykołpał tam w drodze. Teraz przyjechał kierownik...

GOSPODARYN III: No, widzi pan. Konopka może pięć rowów mieć, a ta pani się boi jednego.

GOSPODARZ II: No i tak. Tu Grodzki był mleczarzem, został z mleczarni zwolniony dyscyplinarnie.

REPORTER: Za co?

GOSPODARZ II: Mleka w ogóle nie nosił, a na liście do mleczarni był. Dziewięćset złotych miał do wypłaty, nawet ponad, za to mleko, co go nie zdal.

REPORTER: Krowy nie miał?

GOSPODARZ II: No, krowe miał, ale mleka nie dawał. No i przyjechali tu na kontrolę, sprawdzili, że faktycznie mleka nie ma, a na liście jest mleko, zwolnili go. No, teraz chcieli jego wsadzić, ale nie mogli, raz chcieli jego wsadzić, ale nie mogli, bo zwolniony był. Jego synka — synka na wiosnę zwolniony został z PKS-u — też dyscyplinarnie zwolnili. Jeździł jako kierowca-konduktor. Przyłapali go raz, drugi, no i zwolnili. I teraz tu jeździli, pisali podania. Kiedy przyjechali na wybory nowego zlewniarza, sołtys od razu wstał i powiedział, że dziś się zebranie nie odbędzie, ze względu że za dużo przybyło mieszkańców. Później Kossakowski, Konopka i te z Grodzi się nastawili, kiedy dyrektor Dudek grał u Kulesza w wesołu, i tu cała rodzina...

REPORTER: Jak to — grał?

GOSPODARZ II: No, jako muzykant.

REPORTER: Dyrektor?

GOSPODARZ II: Tak. Do wesela gra, sobota, niedziela.

REPORTER: A czego on jest dyrektorem?

GOSPODARZ II: Od spraw handlu. No i jak on tu grał, to tamci tak przyłatwili, że Grodzkiego Bożenę wsadzili, która w ogóle nie ma rozeznania na mleko. Ona przyszła z Zambrowa, robiła w szpitalu jako sprzątaczką.

GOSPODARYN III: Proszę pana, nam pięć krów padło i ze sto metry kartofli zgniło. Jeszcze dzisiaj w piwnicy jest woda i pod domem woda jest... Może pan wejść i zobaczyć.

GOSPODARYN I: Na to jest magazyn nawozów, żeby nie obkładać domu nawozami!

GOSPODARYN III: My dziesięć lat już pracujemy w nawozach.

GOSPODARYN I: Żeby spać i sprzedawać, tak?

GOSPODARYN III: Tam są rozsypne nawozy, może pan przejechać się, zobaczyć.

GOSPODARZ III: Pan spojrz tylko tutaj — jak strużka była, tak jest. I most jest, i ta strużka idzie od nas. Pan idzie i zobaczy.

WIESŁAW JANICKI
TOMASZ PIOTROWSKI



za rów graniczny

REPORTER: A co z tymi studniami tutaj?

GOSPODARZ II: Ze studniami to nie wiem. Probki wzięte do analizy i posłi, a jak tam wyjdzie, nie wiadomo.

REPORTER: Ale co to było?

GOSPODARZ II: To jeden drugiemu na złość wlał tej ropy.

REPORTER: Ile studni zatrutych było?

GOSPODARZ II: Jedna ta przy mleczarni, druga tu, sąsiadowi ropa wlała, no i tam trzecia była. Wlany był olej przepalony z ciągnika. Tej kobiecie trzy krowy teraz padło, zatruli jej się.

REPORTER: Przejdźmy się. To jest ta mleczarnia, tak?

GOSPODARZ II: Tak. O, można zajść do sąsiadki.

(Skrzyknięcie psa, przechodzące w głośne ujadanie; skrzyknięcie krow, pukanie do drzwi)

REPORTER: Dzień dobry.

GOSPODARZ II: Ja tu przyprowadziłem pani... To panowie z radia. Przyjechali nagrać, jak tu u pani się przedstawia ta sprawa z tym rowem i z tą mleczarnią.

GOSPODARYN IV: Oj, proszę pana, jak to było! Przecież oni tyle czasu mnie mordują i z mordowali już tak, że mnie trzy sztuki bydła już zdechło! Bez końca zatrute wszystko. Woda nagania muły, brudy, piach; co chce, to robi. A pan naczelnik kuzynem tego sąsiada i on co chce, to robi. Ja mam przecież w oborach wodę. W oborach mam wodę!

REPORTER: Skąd ta woda tam się wzięła?

GOSPODARYN IV: O Jezu, płynię przydrożnym takim rowkiem.

REPORTER: Kiedyś nie było wody?

GOSPODARYN IV: Nie było, bo nie był zasypany rów. Przecież, panowie sprawdzicie, on stodołę postawił na drodze, a teraz to się posuwa w tę stronę.

GOSPODARZ II: Mówi, że jemu się należy i na drodze, a teraz tu pcha, do tej kobiety. Zalało tu wodą. Wykarczowała dwa hektary olśzyny, połowę wywiozła, reszta w lesie leży zerżnięta, marnuje się drzewo, nie może wywieźć.

GOSPODARYN IV: Trzeci rok muszę nie zbierać siana stąd. A tu mam

dwa hektary. Przecież na dziesięciu hektarach mieszkam.

GOSPODARZ IV: Pojechałem do naczelnika, naczelnik mówi: „Pan to tu tylko komuś chce dokuczyć, pan nie ma nic do gadania”.

REPORTER: To pójdziemy, zobaczymy ten rów, dobrze?

GOSPODARZ IV: Dobrze, dobrze, proszę bardzo.

(Skrzyknięcie drzwi, szczekanie psa)

GOSPODARYN IV: I tutaj taki obszar mam, i co z tego, jak ja mam wszystko zmarnowane.

GOSPODARZ IV: Wszystko siano leży, bo tu wodę stąd zawalił, puścili.

GOSPODARYN IV: O, rowy są prosto, z jednej strony i drugiej, więc po co nam trzeci, przez środek. Powiedział, że trzeci przekopać. Czy ma prawo? Powiada: ja panią Kotowską zasypię i zaleję, zrobi się jezioro. I tak zrobił. To już trzeci rok. Normalnie woda tam do rowu spływała, to pan Konopko sobie zaszedł, zasypał z panem sąsiadem Kossakowskim.

GOSPODARYN III: Te państwo tu panów okłamują, i to jak silnie okłamują. Wacusz przysięgnij, czy czy u nas rów do drogi w planach jest?

WACEK: Nie trzeba przysięgać, tylko trza plany wziąć.

zemsta

GOSPODARYN III: A widzisz, łajdaku!

WACEK: Plany są, plany są.

GOSPODARYN III: Obyś tak szczęśliwie do domu doszedł!

WACEK: Pani nie gada o szczęśliwie, bo tu był rów. Przyprowadze nawet tu piętnastu ze wsi i każdy powie, bo ojciec jest tu uchowany i urodzony, już siedemdziesiąt lat był rów i jest. Ten rów powinien tu być! A może ten rów został zawalony przez naczelnika...

GOSPODARYN III: Proszę pana, czy kto słyszał, od takiego dziecka, co dziś do drugiej klasy chodzi, żeby główna strużka szła przy takiej wąskiej drodze...

GOSPODARYN I: Ze macie kuzyna naczelnikiem, nic to nie da, musi być tylko prawda.

GOSPODARYN III: Proszę panią, za nami naczelnik absolutnie nie ciągnie, bo pani podkupiła i dziś naczelnik wbrew pani kłamie, bo tylko pięćset złotych ściągnął z pani za decyzję. Pięć krów była padło i nie ma komu za to odpowiedzieć.

GOSPODARZ II (czyta): „Na podstawie artykułu — cicho! — na podstawie artykułu 50 ustawy z dnia 1. nr 1/51 z dnia 24 października 1974 roku, prawo wodne Dziennik Ustaw nr 38, pozycja 230 oraz artykuł 104 kodeksu przeciw — nie wiem, jak tutaj jest — paragraf kodeksu karnego, czy coś, po rozpatrzeniu sprawy i sporu o spływ wód z wniosku obywatela Konopko Władysława, zamieszkałego Kossaki Nadbielne, orzekam: zlecam rozebranie przegrody tamującej spływ wód powierzchniowych w kierunku państwiska obywatelki Kotowskiej Apolonii osobie prywatnej”.

GOSPODARZ V: Po pierwsze, nie ma przepisów, które by zezwalały na tamowanie naturalnego spływu wód.

REPORTER: Dobrze, może zacznijmy od początku wszystko, tak po kolei, bo troszkę się z kolegą pogubiliśmy, szczerze mówiąc. Słyszeliśmy, że w tej wsi padło już chyba z dziesięć krów, tak?

GOSPODARYN V: Ja przez miesiąc czasu ze studni sąsiadów musiałam wodę brać, bo u nas nie można było w ogóle wody brać.

GOSPODARZ II: Wybrana na zle-

wniarza została Grodzka Bożena. W studnie zostało nalane oleju. Mój szwagier, Kulesza Czesław, był przewodniczącym komisji, rano zachodzi, jest ropa w studni.

GOSPODARYN V: Ale nie ma wodów, no i trudno.

GOSPODARZ V: A u sołtysa padły krowy trzy, to synek z wojska przyjechał, coś tam kombinował z prądem, bo wyciąg mu się zepsuł. No i tu, przed mleczarnią, przyszedł Gos Tadek — nas stało z ośmiu — i mówi, że prądem trzy krowy zabił. Jakby byli zatrute, to na masarni mięso by nie poszło, a to mięso poszło normalnie na masarnie. Ale zaraz ktoś tam krzyknął: ty nic nie gadaj, bo on nie ma upoważnienia do prądu, to nie dostaniesz odszkodowania. I to tylko pretekst jest, że to zatrute, bo te trzy krowy to prądem, a te pięć — to tak, faktycznie się zatruly.

REPORTER: Dlaczego pani bydło padło?

GOSPODARYN IV: Moje? Zatruty pasnik, to musi paść.

REPORTER: Kto tę ropę wlał do studni?

GOSPODARYN IV: Może oni same podejście robili?

GOSPODARZ IV: Oni zaczęli się tu drzeć, że to specjalnie ktoś jem wlał, ale tak rozmawiał ten Kossakowski, że to ich robota.

REPORTER: Można na chwileczkę?

GOSPODARYN VI: Bardzo proszę.

REPORTER: U pani w studni ropa była?

GOSPODARYN VI: Nie, u mnie nie.

REPORTER: A jak tutaj ten rów biegnie?

GOSPODARZ VI: Rowu specjalnie nie było, tylko taka strużka przy drodze. Jak tutaj trzydzieści pięć lat jestem, tak tu było. Jak suche lato, to nie było wody, ale jak mokre lato, wiosna czy jesień, to szła woda strugą przy drodze. Sąsiedzi zasypali, żeby tam nie szło, tylko tutaj poszło.

REPORTER: A jak z tą zlewnią i mleczarzem było?

GOSPODARZ VI: Z tą zlewnią to proszę pana, wielka też komedia się wyprawia.

REPORTER: Poprzedni zlewniarz był zły?

GOSPODARZ VI: Poprzedni to ja byłem z synem sześć lat, tak. No i było w porządku. A później szajka takich kilku jest, pisali anonimy, to, nareszcie dyrektor przyjechał na kontrolę, a Konopki syn, Władysław, przyjechał tu ciągnikiem; nawet ten świadek zeznał, który z niem był. Ze pili we trzech, po butelce wina wypili. Ani on mleko przynosił, ani nie, i tutaj przysłał tym ciągnikiem. Ja podchodzę, pytam się: „Co ty chcesz? O co ci chodzi?” A on mnie od razu mówi: „Ty... po dwadzieścia tysięcy za mleko nie będziesz brał!” Nie mogłem tego znieść i dyrektorowi mówię: „Panie dyrektorze, widzi pan, że on pijany?” Dyrektor nie, a ten mnie dalej za kłapy! To ja jego złapałem za kłapy, rąbnął o posadzkę. Dyrektor sam, bez żadnej decyzji, bez nikogo, po sołtysa poszedł. Dyscyplinarnie zwolnieni zostaliśmy za to. Zemsta za rów melioracyjny.

GOSPODARYN III: Ile pani zapłaciła? Państwo mają kwit ze spółki wodnej z Łomży za odetkanie, jak naczelnik przyjechał.

GOSPODARYN I: Kto ma kwit?

GOSPODARYN III: Państwo mają. Proszę mówić drogą prawdziwą, a nie chytrymi sposobami.

GOSPODARYN I: Ja i kiedy grosza za nic nie płaciła, bo mnie nikt nie sądził!

WACEK: Jest decyzja o wykopaniu rowu do 24 września siedemdziesiątego ósmego roku.

DYREKTOR: No, to cały czas są te dwie grupy, dwie grupy rolników. Padają krowy. Wiem, że wody się nie puszcza. To tylko tyle. No i wiem, o co właściwie poszło, na jakim tle. Przedtem ta wieś była bardzo zorganizowana; znam tą wieś, jako dobrą wieś: rolnicy, producenci dobrzy, no. Aż ciężko jakoś pomyśleć, że dochodzi do takich sporów i do takich wypadków.

URZĘDNICZKA: Kiedyś bardzo dobrze ze sobą żyli. A teraz dlaczego, to trudno powiedzieć, dlaczego tak jest. Kierownik służby rolnej może coś powie na ten temat?

KIEROWNIK: No, może z racji tych różnych, tak powiem, kłopotów, tych braków i tak dalej, to wszystko ludzi denerwuje i może to jest powodem. Raczej nie znam dokładnie tych spraw, o których tutaj mowa. To wybuchło tak ni stąd, ni zowąd.

Fot. GABOR LÖRINCZY

obyczaże



Rosnąca ilość dni wolnych od pracy sprzyja temu, aby jedną z najpopularniejszych form wypoczynku stała się turystyka. Wniosek ów nasuwa mi się nie bez kozery. Ta dziedziną jest u nas po prostu niedoceniana. Możemy się o tym przekonać, zapoznając się z sporządzonej przez WKFSiT Urzędu Wojewódzkiego oceną przebiegu letniego sezonu turystycznego, a dotyczącą ubiegłego roku. Z usług instytucji turystycznych skorzystało w tym okresie zaledwie niewiele ponad dwadzieścia osiem tysięcy mieszkańców naszego województwa. Dużo to czy mało? Biorąc pod uwagę rolniczy charakter Łomżyńskiego — dużo; patrząc jednak na to ze strony ilości instytucji, które powinny ruch turystyczny w województwie obsługiwać (jest ich cztery) — z usług tych skorzystało niewiele. Należy zaznaczyć, że w porównaniu do roku 1979 liczba obsłużonych turystycznie mieszkańców naszego województwa zmniejszyła się prawie o dziesięć procent.

Można ten fakt, oczywiście, tłumaczyć kapryśnym ubiegłorocznym latem oraz wypadkom, które w ubiegłym roku miały miejsce w naszym kraju.

Zadowolenie może jedynie budzić fakt zwiększenia się o ponad dwa tysiące ilości osób, które zdecydowały się na różne formy wypoczynku sobotnio-niedzielnego, bo z różnych form turystyki wyjazdowej skorzystało prawie o pięć tysięcy osób mniej. Cytowane dane dotyczą turystyki krajowej; w zagranicznej nastąpił bardzo duży wzrost procentowy, ale dotyczy on zaledwie kilkuset osób.

Sytuacja w naszym województwie w tej dziedzinie jest chyba gorsza niż w innych regionach kraju. Przemawia za tym powołanie w roku 1978 samodzielnej instytucji, mającej rozwijać turystykę; jest nią Główny Komitet Turystyki. Nie wiadomo jednak, czy opanuje on wszystkie niedomagania turystyki łomżyńskiej, która — oprócz bolączek właściwych dla wielu innych działów gospodarki narodowej — musi uporać się z własnymi problemami. Ich natura jest różnorodna. Przede wszystkim cierpi na niedobór ofert pod adresem obywateli. Mało organizuje się imprez (w zasadzie — same wycieczki), nie dba się o wyposażenie bazy noclegowej, tej ogólnie dostępnej, jak i zakładowej, uboga jest baza gastronomiczna oferująca niski standard świadczonych usług.

O ocenianiu rangi turystyki przez Główny Komitet Turystyki jako formy wypoczynku świadczy konkurs, który ogłosiła ta instytucja wspólnie z PTTK i LZS. Ma on charakter stały, a jego celem jest aktywizacja kół i klubów turystycznych PTTK i LZS-u. Takich kół i klubów jest w województwie dokładnie dwieście osiemdziesiąt. Celem konkursu jest spularyzowanie turystyki i krajoznawstwa wśród społeczeństwa, podniesienie wiedzy i kwalifikacji członków kół i klubów oraz zwiększenie ilości i zasięgu organizowanych imprez. Na zwycięzców czekają cenne nagrody. Główną nagrodę, ufundowaną przez GKT, stanowi premia w wysokości stu tysięcy złotych oraz puchar przechodni dyrektora WKFSiT. Drugie i trzecie miejsce będą również premiowane nagrodami pieniężnymi w wysokości dziesięciu i pięciu tysięcy złotych. Będą one przyznawane oddzielnie dla kół i klubów w pionie PTTK i LZS. Do podziału jest więc dwieście trzydzieści tysięcy złotych oraz wyróżnienia w postaci dyplomów. Nad przebiegiem konkursu czuwać będzie komisja powołana przez wicewojewodę łomżyńskiego; w jej pracach będę miał przyjemność uczestniczyć również.

WYMIATA CZ

Wypowiedzenie jest natomiast możliwe w ściśle określonych przypadkach, tj. w razie likwidacji zakładu pracy, uzyskania prawa do renty z tytułu I lub II grupy inwalidzkiej albo osiągnięcia wieku emerytalnego. Określa to art. 40 k.p. Inny przepis przewiduje również zmianę warunków pracy lub płacy członka rady zakładowej (komisji zakładowej) w drodze wypowiedzenia. Jest to dopuszczalne przy wprowadzeniu nowych zasad wynagradzania dla ogółu pracowników zakładu lub określonej ich grupy, albo ze względu na likwidację działu, w którym członek komisji (rady) zakładowej jest zatrudniony. Można też w drodze wypowiedzenia zmienić warunki pracy lub płacy ze względu na utratę zdolności do wykonywania pracy, stwierdzonej orzeczeniem lekarskim, albo ze względu na niezawinioną utratę uprawnień do wykonywania pracy (art. 43 k.p.). Ochrona przed wypowiedzeniem polega więc na tym, że przepisy w sposób wyczerpujący wymieniają jego przyczyny.

Od wypowiedzenia trzeba wyraźnie rozgraniczyć rozwiązanie umowy bez wypowiedzenia, przed którym przepisy kodeksu pracy nie chronią nikogo. Ochrona stosunku pracy członka rady (komisji) zakładowej polega na tym, że dla skuteczności rozwiązania umowy bez wypowiedzenia, z winy pracownika (na podstawie art. 52 kodeksu pracy), zakład pracy musi uzyskać zgodę bezpośrednio nadrzędnej instancji związkowej przed rozwiązaniem umowy. Od czasu ujawnienia przyczyn rozwiązania umowy do jej rozwiązania może upłynąć co najwyżej miesiąc, ale przypadki takich zwolnień dotyczą wyjątkowo rażącego naruszenia obowiązków.

Ochrona przed wypowiedzeniem i rozwiązaniem stosunku pracy kończy się wraz z zakończeniem sprawowania funkcji członka rady (komisji) zakładowej, ale nawet później nie można zwolnić za działanie, które wynikało ze sprawowania funkcji związkowej, gdyż byłoby to naruszeniem zasad współzycia społecznego.

dr HALINA SESKIEWICZ

bowiązany udzielić pracownikowi okresowych zwolnień od pracy w celu umożliwienia mu pełnienia statutowych funkcji członka centralnej, wojewódzkiej i powiatowej instancji związkowej (obecnie należy rozumieć, że również instancji regionalnej). Natomiast do załatwienia ważnych spraw społecznych zakład może zwolnić pracownika na krótki czas, jeżeli zwolnienie to nie narazi zakładu pracy na szkodę. Zwolnienie może być udzielone na wniosek organizacji związkowej. Dokument ten reguluje także prawo do zwolnień na szkolenia, m.in. związkowe, stanowiąc, że zwolnienie może wynosić 10 dni w ciągu kadencji. Za czas wszystkich wyżej wymienionych zwolnień pracownik zachowuje prawo do wynagrodzenia.

Z cytowanych przepisów wynika, że w razie pełnienia funkcji w instancji związkowej zwolnienie ma charakter obowiązku zakładu pracy, zaś w przypadku społecznego wykonywania funkcji związkowej na terenie zakładu pracy, zarówno samo zwolnienie, jak i jego rozmiar muszą być z kierownictwem zakładu pracy uzgodnione. Aby do końca tę kwestię wyjaśnić, stwierdzić należy, że obecnie żaden przepis nie ustanawia normy ilościowej tych zwolnień (poza normą na szkolenia). Powinny one być udzielane w rozmiarze niezbędnym do wykonania prac związkowych. W praktyce odbywać się to powinno przez wyrażne uzgodnienie stanowisk między komisją lub radą zakładową a kierownictwem zakładu (wniosek związku zawodowego i zgoda kierownictwa zakładu).

OCHRONA PRZED ZWOLNIENIEM

Od momentu wyboru pracownika do komisji zakładowej lub rady zakładowej umowa o pracę nie może być wypowiedziana (art. 39 k.p.) poza pewnymi wyjątkowymi okolicznościami, wyraźnie określonymi w przepisach. Ochrona stosunku pracy obejmuje również zakaz wypowiedzenia któregośkolwiek z istotnych elementów stosunku pracy, a więc warunków, płacy, stanowiska (art. 34 k.p.).

Z RUCHU ZWIĄZKOWEGO

Společnie czy na etacie

Do czasu wejścia w życie nowej ustawy o związkach zawodowych, która określi zasady zwalniania członków zakładowych władz związkowych od wykonywania czynności zawodowych, obowiązuje w tej mierze art. 29 dekretu z 6 II 1945 r. o utworzeniu rad zakładowych. Stanowi on, że w zakładach pracy, zatrudniających od 250 do 500 pracowników, jednym członkiem rady zakładowej może być zwolniony od pełnienia czynności zawodowych; gdy zatrudnionych jest od 501 do 1000 pracowników, zwolnienie takie przysługuje dwóm, a gdy 1000—3000 pracowników — trzem członkom rady zakładowej. Gdy liczba pracowników przekracza 3000, zwolnienie służy ponadto jednemu członkowi na każdą kolejną grupę 1500 pracowników.

Przepis mówi o ilości zatrudnionych, gdyż w czasie, kiedy był on ustanowiony, funkcjonował w kraju jednolity system organizacji związków zawodowych. Obecnie nie należy uzależniać tzw. „etatowych” działaczy związkowych od liczby pracowników, lecz od liczby członków związku, których reprezentują. Należy się też liczyć z tym, że część pracowników pozostanie nie zrzeszona w związkach zawodowych (o czym pisałam w poprzednim odcinku). Liczba niezrzeszonych nie jest zazwyczaj duża i jeśli tak jest w konkretnym zakładzie — nie należałoby ich uwzględniać przy obliczaniu ilości związkowych etatów. Gdyby jednak liczba niezrzeszonych pracowników była duża, należałoby ich również uwzględnić, gdyż każdy związek zawodowy podejmuje wszelkie działania o charakterze ogólnym również w ich interesie.

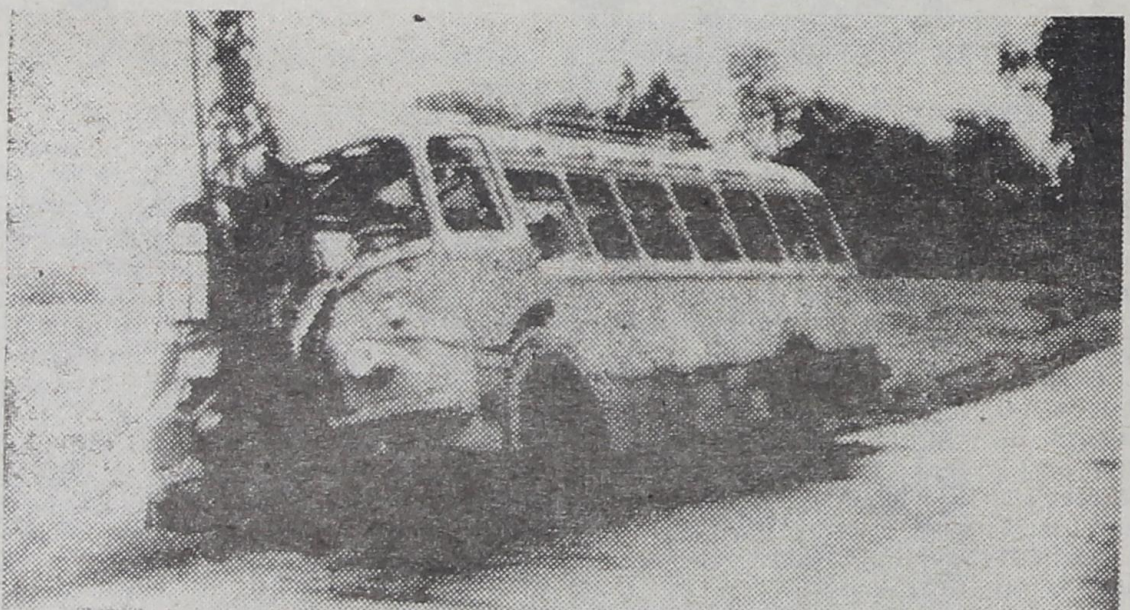
ZWOLNIENIA Z PRACY

Charakter i rozmiar zwolnień od pracy zawodowej do wykonywania prac związkowych reguluje rozporządzenie RM z 20 XII 1974 r. Stanowi ono, że zakład pracy jest z o-

skrzyżowania skrzyżowania

Śladami małego rycerza

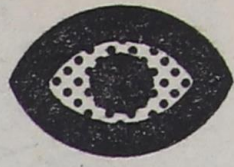
Wydawać by się mogło, że w wielokrotnie od deski do deski przeczytanym utworze nie sposób już wynaleźć czegoś nowego. Do niedawna byłem tego zdania, zanim — po raz nie wiedzieć który — sięgnąłem do „Trylogii”. Podczas lektury niespodziewanie wpadłem na trop przedziwnej analogii. Dotyczy ona Sienkiewiczowskich rycerzy i... dzisiejszych użytkowników dróg. Oto ciężkobrajną husarię, postrach wrogów Rzeczypospolitej, zastąpiła armia kierowców kamazów, jeliczów i starów; lekka jazda — określaną mianem dragonów — chmara dosiadających robury, żuki i nysy. Posiadacze prywatnych polonezów, wołg, trabantów — to pospolite ruszenie, wolontariusze, zaś ujeżdżający lalki, kobuzy czy jawy — choć bez barwnych kołętów — z Tatarami Babinicza w zawody iść mogą jako „zagończycy” nieźrównani. A że dzisiejsze „wierzchowce” potężniejsze, szybsze, tedy i nasi współcześni „rycerze” od owych dawnych mocniejsi. Weźmy chociaż siłacza nad siłacze, Longinusa Podbięty z Mysichkiszek. Toż ów heros rodowym swym mieczem, Zerwikapturem, ledwie trzech Tatarzynów głów pozbawić zdołał, na którą to okazję całe życie czekać musiał. Dzisiejszy „huzar” w jednej chwili bodaj tuzin głów zderzakiem ściąć gotów, a na dodatek na miazgę potężnymi kołami rozgnieść. „Lżejszym chorągwiom” również de-



terminacji nie brak. Na własne oczy widziałem trabanta, który grzmotnął w ursusa i, na pół go przelamawszy, najspokojniej odjechał. Jest wśród nas spore grono wyznawców filozofii imię pana Onufrego Zagłoby herbu Wczele. Jedną ze sławetnych, a dziś najpopularniejszych, recept tego meża zalecała spożywanie wina w połączeniu ze słonecznikowymi pestkami, co niezawodnie prowadziło do napełnienia mózgowicy olejem, jako że olej, lżejszym będąc, na wierzch wypływa. Zwolennicy pana Onufrego snadź o pestkach zapomnieli, bo jedno samym winem, piwkiem lub gorzałką do syta się raczą, od czego oleju we łbach ni krzty im nie przybywa, a na odwrót — durnieją z kretemsem, „koń” siadają i ładują na drzewach. O piechocie także wspomnieć się godzi. Nasz pieszy po kilku kubkach gorzałki bez wahania gotów. z gołymi rękoma rzucić się nawet na wrotkę albo na środku uczęszczanej jezdni — do snu się ułożyć. Opowiadał mi znajomy, jak to kiedyś, jadąc nocą przez Marianowo, omalże nie najechał na takiego śpiocha. Prawdę mówiąc, i trzeźwi piesi nieraz prezentują pogardę dla śmierci, godną słynnych japońskich kamikadze. Na koncepcie też ludziom nie zbywa, o czym dobitnie świadczy mnogość forteli, w ruchu drogowym stosowanych. Bo czy to raz jedzie sobie przed nami lewym pasem jakiś sa-

mochód, wesoło mruka lewym kierunkowskazem, a nagle — hop, skręca w prawo. Inny fortel: wracałem w letni wieczór z Ciechanowca. Przed Bogutami zauważyłem ustawione w poprzek jezdni snopki zboża. Zwolniłem. Wyprzedził mnie fiat, którego kierowca nie lękał się wątlej, słomianej przeszkody. A to duży błąd. Otóż w snopkach tkwił, przemysłnie ukryty, potężnych rozmiarów glazik. On to właśnie dał dość przykre efekty w zetknięciu z misą olejową samochodu. Z krzaków przy drodze dobiegł chichot, później odgłos szybko oddalających się kroków. Czy ci spece od pułapki nie zdawali sobie sprawy, że dla ich śmiechu ktoś mógł stracić życie? Dziś na drogach wciąż ludzie tracą życie przez cudzą lub swoją głupotę, bez żadnej zaszczepnej potrzeby, jak to niegdyś bywało. Przyszła kolej na wykazanie różnic między bohaterami „Trylogii” a nami. Pan Czarniecki, Skrzetuscy, działali celowo, z rozmysłem, przed każdym manewrem mierząc siły na zamiary. Niektórzy z nas często dają się ponieść lekkomyślności, postępują bez głowy i to, miast powodzenia, przynosi tragedię. A przecież znana powszechnie максима autorstwa Kartezjusza głosi: „Myśle, więc jestem”. Prosty stąd wniosek — jeśli myśleć nie będziemy, to i nas może nie być...
DYŻURNY DROGOWSKAZ
Fot. GABOR LÜRINCZY

WARUNKI PRENUMERATY: Prenumeratę przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: do 25 listopada na styczeń, I kwartał, i półrocze roku następnego i na cały rok następnym; do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty; kwartałna 92 zł, półroczna 104 zł, roczna 208 zł, jednostki sporadycznie; w miejscowościach zamawiają prenumeratę w miejscowościach z adresem w miejscowościach z adresem Oddziałów, w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-950 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i zakładów pracy.



CZWARTEK 26 LUTEGO 1981 r. PROGRAM I 6.00. TTR, RTSS - fizyka, sem. II. 6.30. TTR, RTSS - chemia, sem. II. 13.30. TTR, RTSS - fizyka, sem. IV. 14.00. TTR, RTSS - geografia, sem. IV. 14.30. Telewizja w sprawie miliardow. 15.20. Turniej Zastepowych. 16.15. Dziennik Telewizyjny. 16.30. Czwartek TDC, m.in. "Mój swiat" oraz "Byl sobie czlowiek". 17.30. Magazyn motoryzacyjny. 17.55. Lista przebojow ksiazkowych. 18.20. Magazyn lotniczy - I Puik Lotnictwa Mysliwskiego "Warszawa". 18.50. Dobranoc. 19.00. Sonda - "Raport". 19.30. Dziennik Telewizyjny. 20.10. "Sierzant Anderson" - "Wybuch". 21.00. Pegaz. 21.50. Dziennik Telewizyjny. 22.05. "Dwie strony medalu". 22.45. Telewizja w sprawie miliardow. PROGRAM II 16.00. Język rosyjski (19). 16.35. Język francuski (19). 17.10. "Zima" - impresja filmowa. 17.20. "W pogodnym nastroju". 17.40. Piotr Czajkowski: "Serenada na orkiestrę smyczkową". 18.15. "Słownik sztuki współczesnej". 19.30. Dziennik Telewizyjny. 20.10. NURT - wychowanie estetyczne. 20.40. NURT - psychologia. 21.10. 24 Godziny. 21.20. Teatr Telewizji - Michał Choromański: "Largactil" w reż. Krzysztofa Wierzbianskiego. 21.30. Język rosyjski (19). PIĄTEK 27 LUTEGO 1981 r. PROGRAM I 6.00. TTR, RTSS - fizyka, sem. IV. 6.30. TTR, RTSS - geografia, sem. IV. 9.00. Geografia, kl. V. 9.55. Program dla kl. IV. 11.00. Wychowanie obywatelskie, kl. VII. 13.30. TTR, RTSS - hodowla zwierząt, sem. II. 14.00. TTR, RTSS - uprawa roślin, sem. II. 16.15. Dziennik Telewizyjny. 16.30. Dla dzieci: "Kółko granaste". 16.55. "Dzień dobry w kręgu rodziny". 17.20. Mistrzostwa Świata w Lotach Narciarskich. 17.50. "Pod jednym dachem" (8) - "Reżyser". 18.40. Rolnicze rozmowy. 18.50. Dobranoc. 19.00. Telewizja Młodych przedstawia - "Przetarg". 19.30. Dziennik Telewizyjny. 20.10. Teatr Telewizji - Ladislav Fuks: "Palace zwlok" w adaptacji i reżyserii Wojciecha Wiszniewskiego. 21.15. "Wykrzyknik". 21.30. "Listy o gospodarce". 20.10. Dziennik Telewizyjny. 22.25. Lista obecności satyryków - Ryszard Marek Gronski. PROGRAM II 16.05. Język francuski (19). 16.35. Język rosyjski (19). 17.15. Kino TDC - "Skąd my to znamy?". 17.45. Klub Jazzowy Studia Gama. 18.25. Stopklatka. 19.30. Dziennik Telewizyjny. 20.10. "Dzień jak co dzień" - film dokumentalny. 22.10. 24 Godziny. 21.20. Studio Kwadrans - "Jak kupić prakkę?". 21.40. "Gwiazdozbiór" - Roman Wilhelmi. 22.25. Studio Sport - tenis stołowy. 22.55. Język francuski (19). SOBOTA 28 LUTEGO 1981 r. PROGRAM I 16.15. Dziennik Telewizyjny. 16.30. Dla dzieci: "Sezam". 16.55. "Rytm czasu". 17.15. "W świecie dzikich zwierząt" - "Koniki z Chincoteague". 17.35. Ocalić od zapomnienia - "Szlakiem laureatów". 18.10. Piosenki San Remo 80". 18.50. Dobranoc. 19.00. "Kierunek: Pomorze" - wojskowy program historyczny. 19.30. Dziennik Telewizyjny. 20.10. "Dom" (7) - "Zażalenie do Pana Boga". 21.45. Rozmowa po pierwszej części serialu "Dom". 22.10. Blisko i Daleko. 22.45. Dziennik Telewizyjny. 23.00. Kino Nocne: "Polubisz moją matkę" - horror prod. USA. PROGRAM II 16.00. Studio Sport. 17.30. "Na skraju wsi" - węgierski film fabularny. 19.30. Dziennik Telewizyjny. 20.10. Koncert Karel'a Gott'a. 21.15. "Zacznijmy od Mony Lisy" - magazyn twórczości plastycznej. 21.50. "Radości i troski Dominiki" - francuski serial filmowy. 22.45. Poezi i ich wiersze - Marian Piechal. NIEDZIELA 1 MARCA 1981 r. PROGRAM I 6.20. TTR - hodowla zwierząt, sem. IV. 6.50. TTR - uprawa roślin, sem. IV. 7.20. TTR, RTSS - nasze spotkania. 7.40. Nowoczesność w domu i zagrodzie. 8.10. Emerytury dla rolników. 8.20. "Telewizjada". 9.00. "Telekanal, m.in. "Rodzina Leśniewskich". 10.20. Antena. 10.45. "Mała Ziemia" (2). 11.45. Dziennik Telewizyjny. 12.05. "Sami dla siebie" - program Redakcji Rolnej. 12.55. "Z różnych epok" - program muzyczny. 13.00. "Telewizyjny Koncert Życzeń. 13.45. Reportaż filmowy. 14.20. Bajki Pana Perrault - "Paluszki". 15.05. Monitor Sejmowy. 15.45. Teatr Małych Form - "Lato 1932" (wiersze Jarosława Iwaszkiewicza). 16.05. "Dzieci bawią się inaczej" - bułgarski film fabularny. 17.40. "Mój koncert" - Janusz Majewski. 18.30. Piosenki ze sceny. 19.00. Wieczorynka. 19.30. Dziennik Telewizyjny. 20.10. "Anna Karenina" (6). 21.10. Śpiewa Jerzy Polomski. 21.50. Sportowa Niedziela. 22.20. "Co dalej, laureacie" - program Henryka Czyża. PROGRAM II 15.45. "E-81. Wspomnienie lata" - program rozrywkowy. 16.55. Sportowa Niedziela. 17.35. Teatr Telewizji - Edmond Rostand: "Cyrano de Bergerac" w reż. Krzysztofa Zaleskiego. 19.30. Dziennik Telewizyjny. 20.10. Sportowa Niedziela. 21.45. Klub Filmowy - "Cierpienia młodego Wertera" (wg powieści Goethego). PONIEDZIAŁEK 2 MARCA 1981 r. PROGRAM I 13.30. TTR, RTSS - język polski, sem. II. 14.00. TTR, RTSS - matematyka, sem. II. 16.15. Dziennik Telewizyjny. 16.30. Zwierzyniec. 16.55. Klinika Zdrowego Człowieka. 17.15. "Cztery pancerni i pies" (3) - "Rozstajne drogi". 18.05. Impulsy - magazyn spraw pracowniczych. 18.40. Rolnicze rozmowy. 18.50. Dobranoc. 19.00. Echa stadionów. 19.30. Dziennik Telewizyjny. 20.10. Teatr Telewizji - Stanisław Horak: "Pustelnia" w reż. Wojciecha Solarza. 21.45. Program publicystyczny. 22.15. Dziennik Telewizyjny. 22.30. FIL - Felieton Ilustrowany "Tricki" (program satyryczny Andrzeja Strzeleckiego). 22.40. Raport w sprawie alkoholizmu. PROGRAM II 17.00. Język niemiecki (20). 17.25. Język angielski (13). 18.20. "Właściwy człowiek" - "Czy samobójstwo biurokracji?". 19.30. Dziennik Telewizyjny. 20.10. Programy publicystyczne. 21.35. 24 Godziny. 21.45. "Gwiazda wytrwałości" - film historyczny TVP. 22.40. Język niemiecki (20). WTOREK 3 MARCA 1981 r. PROGRAM I 6.00. TTR, RTSS - język polski, sem. II. 6.30. TTR, RTSS - matematyka, sem. II. 9.00. Spotkanie z pisarzem - Janusz Przymanowski. 9.55. "Czerwone, żółte, zielone", kl. I-III - "Stoi na stacji lokomotywa". 12.50. Rodzina współczesna, kl. I-II lic. 13.30. TTR, RTSS - język polski, sem. IV. 16.15. Dziennik Telewizyjny. 16.30. Telewizyjny Klub Seniora. 16.55. Polska Kronika Filmowa. 17.05. Dom i my - poradnik. 17.25. "Strus Pędziwiatr przedstawia" - film animowany. 18.05. Telewizja Młodych przedstawia - CDN. 18.50. Dobranoc. 19.00. Skarbiec. 19.30. Dziennik Telewizyjny. 20.10. FilMOTEKA Arcydziel - "Grona gniewu" w reż. Henrego Forda. 22.20. "Czy możemy się wyżywić?". 22.50. Dziennik Telewizyjny. 23.05. "Osobowy 19.80" - program satyryczny. PROGRAM II 10.00. Dom i my. 10.20. Skarbiec. 10.45. Wtorek Melomana. 16.00. Język angielski (20). 16.30. Język niemiecki (20). 17.00. Kino Telewizji Najmłodszych. 17.30. Młodzieżowy Magazyn Techniki - Lidar. 18.00. "Postawy" - "Roztropność". 18.30. Piosenki tygodnia. 18.45. Przemówienie ambasadora Królestwa Maroka. 19.30. Dziennik Telewizyjny. 20.10. Wtorek Melomana. 21.10. 24 Godziny. 21.20. Bez recept - "Kłamstwo". 21.50. Program publicystyczny. 22.20. Język angielski (13). SRODA 4 MARCA 1981 r. PROGRAM I 6.00. TTR, RTSS - język polski, sem. IV. 6.30. TTR, RTSS - historia, sem. IV. 9.00. Fizyka, kl. VI. 9.55. Praca-technika, kl. I. 11.00. Historia, kl. VII. 13.30. TTR, RTSS - fizyka, sem. II. 14.00. TTR, RTSS - biologia, sem. II. 14.30. Program dla PGR-ów. 15.00. Telewizja w sprawie miliardów. 16.15. Dziennik Telewizyjny. 16.30. "Michałki". 16.55. "Dzień dobry w kręgu rodziny". 17.25. Klub Dobrej Książki. 17.50. Próby - magazyn publicystyczny. 18.20. Turystyka i Wypoczynek. 18.50. Dobranoc. 19.00. Camerata. 19.30. Dziennik Telewizyjny. 20.10. "Wysokie loty" - polski film społeczno-obyczajowy. 21.40. Dziennik Telewizyjny. 21.55. "Jubileusz Jubilat" - 80 rocznica urodzin Kazimierza Krukowskiego. 22.55. 30 minut z architektura. 23.25. Telewizja w sprawie miliardów. PROGRAM II 16.15. Język angielski (13). 16.45. Język angielski (20). 17.20. Program morski. 17.50. Towarzystwo Wiedzy Powszechnej - "Sport a styl życia". 18.20. Poradnia Zaufania. 19.30. Dziennik Telewizyjny. 20.10. Ekran Reporterów - "Maurowie z papierowej wojny". 20.40. Wieczory Historyczne. 21.10. 24 Godziny. 21.20. "Wieczorne rozmowy w kręgu rodziny". 21.50. "Ucieczka" - film fabularny prod. NRD. 23.20. Język angielski (20).

Łomża, kino „Październik”: 26-27 II - „Bez miłości”, prod. pol. (od lat 18), 28 II-2 III - „Solo Sunny”, prod. NRD (od lat 15); 3-5 III - „Prawdziwe życie Drakuli”, prod. rum. (od lat 15). Ciechanowiec, kino „Meteor”: 26-27 II - „Każdy umiera w samotności”, prod. RFN (od lat 15). 28 II-1 III - „Przybywa jeździec”, prod. USA (od lat 15); 3-4 III - „Zielone lata”, prod. pol. (od lat 12). Grajewo, kino „Relax”: 26-27 II - „Konie Valdeza”, prod. włosk. (od lat 15); 28 II-2 III - „Powrót człowieka zwanego koniem”, prod. USA (od lat 15); 3-4 III - „Wszystko jest miłością”, prod. bułg. (od lat 18). Jedwabne, kino „Oaza”: 26 II - „Szawonnie nieboszczyca”, prod. włosk. (od lat 18). 28 II-1 III - „Idealna para”, prod. USA (od lat 15); 4-5 III - „Alicja już tu nie mieszka”, prod. USA (od lat 15). Kolno, kino „Wrzos”: 26-27 II - „Szansa”, prod. pol. (od lat 15); 28 II-1 III - „Hair”, prod. USA (od lat 15); 2-4 III - „Taksówkarz”, prod. USA (od lat 18). Nowogród, kino „Ziemowit”: 28 II-1 III - „Hotel klasy lux”, prod. pol. (od lat 15); 3-4 III - „Ofiara namiętności”, prod. hiszp. (od lat 18). Stawisk, kino „Saturn”: 26-27 II - „Kliniec”, prod. pol. (od lat 15); 28 II-1 III - „Drzwi w drzwi”, prod. franc. (od lat 12); 3-4 III - „39 stopni”, prod. ang. (od lat 15). Wysokie Mazowieckie, kino „Wars”: 26 II - „Powrót Mechagodźzili”, prod. jap. (od lat 12); 27 II-1 III - „Cudze pieniądze”, prod. franc. (od lat 15); 3-4 III - „Dziewczyna z jeziora”, prod. CSRS (bez ograniczeń). Zambrów, kino „Kosmos”: 26 II - „Jeśli serce masz bijące”, prod. pol. (bez ograniczeń); 27 II-2 III - „Głina czy łajdak”, prod. franc. (od lat 18); 3-9 III - „Ojciec Święty Jan Paweł II w Polsce”, prod. pol. (bez ograniczeń). Kierownictwo kin zastrzega możliwość zmian programu.

wym), czynna codziennie w godz. 9.00-20.00. Miejsko-Gminny Dom Kultury w Wysokim Mazowieckiem: wystawa rysunku satyrycznego, czynna od 1 III, w godz. 8.00-15.00 i 17.00-22.00. Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrowie: rejonowe eliminacje konkursu piosenki radzieckiej, 1 III, godz. 15.30. Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Rajgrodzie: eliminacje konkursu piosenki radzieckiej - w programie m.in. poezja Sergiusza Jesienina i prezentacja tańców radzieckich, 26 III. Gminny Ośrodek Kultury w Małym Pocku: „Tylko zapusty”, 3 III, godz. 18.00. Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej Oddział w Łomży: spotkanie poświęcone tematyce historii Kolna (w świetlicy Spółdzielni Mieszkańców w Łomży, ul. Świerczewskiego 7 b), 26 II, godz. 17.00. Stowarzyszenie PAX: „Twórczość literacka Karo i Wojtyły” - spotkanie z red. Romualdem Falkiewiczem z tygodnika „Zorza”, 26 II o godz. 18.00 w sali kominkowej Muzeum Rolnictwa w Ciechanowcu i 27 II o godz. 18.00 w Klubie Stowarzyszenia PAX w Łomży, ul. Rządowa 8.

Wojewódzki Dom Kultury w Łomży: „Hedda Gabler” Henrika Ibsena - spektakl Teatru im. Aleksandra Węgierki z Białegostoku, 28 II, godz. 19.00; koncert zespołu „KOMBI”, 1 III, godz. 12.00, 14.00 i 16.00 (bilety do nabycia w Dziale Imprez WDK, III piętro); Dzień Kobiet w Klubie Seniora - w programie m.in. występ kapeli ludowej z Grabowa, 2 III, godz. 16.00. Klub Miejskiego Domu Kultury - Domu Srodowisk Twórczych „Pod Arkadami”: III poplenerowa wystawa fotograficzna, czynna codziennie - oprócz poniedziałków - w godz. 14.00-20.00. Miejsko-Gminny Dom Kultury w Grajewie: jubileusz 25-lecia pożycia małżeńskiego, 28 II, 17.00. Miejsko-Gminny Dom Kultury w Kolnie: wystawa malarstwa Zbigniewa Krukowski, Maksymiliana Starca i Andrzeja Szufarskiego (w pokoju klubo-

nego Mazowsza im. Adama Chętnika w Nowogrodzie, czynny codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświęconych) w godz. 9.00-16.00. Wystawy: 1) Wnętrze chat, kuźni, olejarni z wyposażeniem, izba tkaczy-artystki ludowej Anny Kordeckiej, śpichlerz z wystawą obrazującą przemiał i przechowywanie zbóż, stodoła ze starym, drewnianym kieratem i narzędziami bartnymi 2) W Dworku z Brzozek wystawa archeologiczna - „Pradzieje Nowogrodu” 3) W chacie z Baranowa wystawa „Adam Chętnik - życie i działalność”. Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświęconych) w godz. 8.00-16.00 w niedziele i święta w godz. 11.00-19.00. Wystawy stałe: 1) „Dzieje rolnictwa” (techniki uprawy, pasterstwo, hodowla, transport wiejski, mechanizacja rolnictwa, rzemiosło, tkactwo ludowe). 2) Wystawa biograficzna Krzysztofa Kluka. 3) Skansen mazowiecko-podlaski z ekspozycją wewnątrz. Wystawa czasowa: „Ludzie i zwierzęta” - pokonkursowa wystawa prac plastycznych dzieci.

niego Mazowsza im. Adama Chętnika w Nowogrodzie, czynny codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświęconych) w godz. 9.00-16.00. Wystawy: 1) Wnętrze chat, kuźni, olejarni z wyposażeniem, izba tkaczy-artystki ludowej Anny Kordeckiej, śpichlerz z wystawą obrazującą przemiał i przechowywanie zbóż, stodoła ze starym, drewnianym kieratem i narzędziami bartnymi 2) W Dworku z Brzozek wystawa archeologiczna - „Pradzieje Nowogrodu” 3) W chacie z Baranowa wystawa „Adam Chętnik - życie i działalność”. Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświęconych) w godz. 8.00-16.00 w niedziele i święta w godz. 11.00-19.00. Wystawy stałe: 1) „Dzieje rolnictwa” (techniki uprawy, pasterstwo, hodowla, transport wiejski, mechanizacja rolnictwa, rzemiosło, tkactwo ludowe). 2) Wystawa biograficzna Krzysztofa Kluka. 3) Skansen mazowiecko-podlaski z ekspozycją wewnątrz. Wystawa czasowa: „Ludzie i zwierzęta” - pokonkursowa wystawa prac plastycznych dzieci.

Ogłoszenia drobne
Szczęśliwie kojarzy małżeństwa Biuro Matrymonialne „Mazury” Olsztyn 2, skrytka 336. Łk 4922-0
Biuro Matrymonialne „Piast”. 84-300 Łęborg, skrytka pocztowa 22 - poleca usługi. Łp 147-0

Komunikat
NSZZ „Solidarność” Region Mazowsze - Oddział w Zambrowie informuje, że działalność swą prowadzi w lokalu przy ulicy Kościuszki 8 (I piętro) w godz. 10.00-18.00, tel. 24-78.

ŁOMŻYŃSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWLANE
w Łomży
w związku z rozruchem FABRYKI DOMÓW
zatrudnia natychmiast
pracowników w następujących zawodach:
1. Palacz kotłów wysokopiętnych (z uprawnieniami) - 6
2. Hydraulik - 2
3. Elektryk napraw pojazdów - 1
4. Operator sprzężarek (z uprawnieniami) - 1
5. Konserwator suwnic-elektryk (z uprawnieniami) - 1
6. Konserwator suwnic-mechanik (z uprawnieniami) - 1
7. Operator suwnic (z uprawnieniami) - 3
8. Betoniarz - 10
9. Zbrojarz - 8
10. Spawacz elektryczny (z uprawnieniami) - 3
11. Spawacz elektryczny (z uprawnieniami na konstrukcje) - 3
12. Operator zgrzewarek (z uprawnieniami) - 2
13. Kierowca wózka spalinowego widłowego (z uprawnieniami) - 4
Warunki pracy i płacy do omówienia na miejscu ŁPB ul. Nowogrodzka 1, pokój nr 5, lub bezpośrednio w Fabryce Domów ul. Wojska Polskiego.
Pracownikom nie posiadającym rodzin (zamiejscowym) zapewniamy zakwaterowanie w hotelu robotniczym w Łomży. ŁK 571-0

KONTAKTY
Łomżyński tygodnik społeczny pismo PZPR. REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski - redaktor naczelny, Stefan Henczelow - zastępca redaktora naczelnego, Lech Giełbach, Wiesław Kowalski, Juliusz Świdro, Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Kędziawski, Redaktor techniczny - Zbigniew Henczel, Korkęta - Elżbieta Słupska, STALE WSPÓŁPRACUJĄ: Alicja Basia, Janusz Berner, Jerzy Bieliński, Alicja Bielecka, Jacek Grdy, Wiesław Janicki, Henryk Kln, Andrzej Kozłara, Kłemenz Krzyżogórski, Jan Kulka, Piotr Kunczewski, Marek Kusiba, Tadeusz Mocarski, Franciszek Piątkowski, Zbigniew Siedlecki, Andrzej Tchorewicz, Jacek Woźniak, KONCEPCJA GRAFICZNA - Marek Goebel, ADRES REDAKCJI: ul. Sadowa 10, 18-400 Łomża, tel. 34-924, 40-32, telex - 883249, WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch” - Białoostockie Wydawnictwo Prasowe w Białoostoku Druk Białoostockie Zakłady Graficzne, Zam. 303/01, Nakład 23 000 A-5 PL ISSN 0208-8840 - Nr indeksu 36338. Ogłoszenia przyjmują: Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

UFO STARSZE NIŻ NAM SIĘ WYDAJE

Pierwszym, który 24 czerwca 1947 roku zauważył na niebie latające talerze, był 32-letni biznesmen Kenneth Arnold, pilotujący samolot w stanie Waszyngton — i tak się zaczęło. Powinno się już skończyć, ale po przeszło 30 latach kariery UFO nadal elektryzuje, jeśli nie całą, to przynajmniej znaczną część opinii publicznej.

W świecie nauki UFO ma tylu przeciwników, co sympatyków, nie wykluczających możliwości, że te tajemnicze obiekty są pojazdami wysyłanymi przez rozwinięte cywilizacje spoza Układu Słonecznego. Do takich należy amerykański fizyk Philip Morrison, zapamiętał obrońca tezy o możliwości nawiązania kontaktu z rozumnymi istotami z Kosmosu.

Jednym z historycznych argumentów Morrisona jest relacja Jean-Baptiste Biota, poważnego przyrodnika z przełomu XVIII i XIX w., który na wieść o pojawieniu się nad Normandią ognistej kuli, wybrał się tam, aby osobiście zbadać skutki gwałtownego lądowania. Biot nie tylko zebrał jednobrzmiące relacje mieszkańców wielu wsi, ale także kilka tysięcy odłamków „pojazdu”. Wszystkie miały tę samą strukturę, nie przypominały ani obojętnej skały, ani tego, co produkowano w okolicznych fabrykach ceramiki. Odłamki zawierały substancje lotne i wydzielaly silny zapach — ich powierzchnia i twardość zmieniały się z biegiem czasu. Badacz o trzeźwym umyśle przyrodnika zmuszony był zdziwić się. Morrison wyciągnął z tego wnioski.



Poduika

Rysunek Andrzeja Poduiki

TRÓJKĄT BERMUDZKI

Kroniki morskie od wielu dziesiątków lat notują wypadki zaginięcia statków z załogami lub samych załóg. Najgorszą sławą w tej materii cieszy się trójkąt między Jacksonville na Florydzie, Puerto Rico i Bermudami. Tam też w 1964 roku zaginął jacht dowodzony przez wytrawnego żeglarza, kapitana K. Grabowskiego. Na Florydzie odebrano radiowy sygnał SOS. Słyszano słabnący głos męski, później dziecięcy (na pokładzie było dwoje dzieci). Pozwoliło to dokładnie ustalić, gdzie jest jacht, ale ekipa ratownicza nigdy nie odnalazła ani jachtu, ani ludzi. Doskonale wyposażony jacht przepadł jak lupina orzecha w odległości 150 Mm od wybrzeża.

Tajemnicze znikanie statków, a także samolotów w tym rejonie, próbuje się tłumaczyć nie znanym promieniowaniem elektromagnetycznym, nie zbadanymi jeszcze falami grawitacyjnymi, anomalią czasu, a nawet interwencją z Kosmosu. Wysuwają się hipotezy o wysaniu statków i samolotów w poddenne groty próżniowe, powstające przy tektonicznych ruchach skorupy ziemskiej.

Dokładne pomiary ze stacji kosmicznej „Skaylab” wykazały, że powierzchnia wody fatalnego Trójkąta jest obniżona aż o 25 m. Tłumaczy się to m.in. anomaliami grawitacyjnymi, wywołanymi Rowem Puerto Rico o głębokości sięgającej 10 km.

Nie jest to jednak przekonujące wyjaśnienie zaginięcia pięciu amerykańskich bombowców typu Avenger, które przepadły bez wieści podczas ćwiczebnego lotu, nie tłumaczy to też zniknięcia wodnopłatawca typu Martin Mariner, także potężnego węglowca norweskiego, po którym znaleziono tylko jedno koło ratunkowe, i wielu innych bądź co bądź niemałych jednostek pływających lub latających. Liczba statków i samolotów, które pochłonił Trójkąt, doszła już do stu, a mniej więcej co dwa lata powiększa ją nowa ofiara.

Naukowcy nie wykluczają działania zjawisk całkowicie jeszcze człowiekowi nie znanych.

MINI-KABARET PIEKIELKO PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY DIABELSKIE OBRACHUNKI

Jak z pewnością pamiętamy, cztery nasze znajome diabły, ob. ob. Biebrzański, Bużański, Dojllicki, Narwiański, od kilku tygodni nie, tylko obradują. Temat za każdym razem inny, chociaż w gruncie rzeczy ten sam. Chodzi mianowicie o to, żeby w jak najskuteczniejszy sposób, pryncypialnie, ale jednocześnie nie ekstremalnie, dojść do tego, żeby było tak, jak było, ale żeby było inaczej.

DOJLICKI: Koledzy! Może już dosyć ogólników, przejdźmy teraz do szczegółników.

NARWIAŃSKI: Rzeczywiście, przydałby się jakiś szczegółnik, bo nam się ostatnio zrobiło jakoś za ogólnie. Macie coś w zanadrzu, koledzy? Zaznaczam wszakże, iż musi to być co najmniej jakiś wystrzał albo przynajmniej petarda.

BUZAŃSKI: Jakaś akcja zmasowana, coś od nocy aż do rana!

BIEBRZAŃSKI: Eureka! Mam o toż coś w zanadrzu takiego, że wam rogi ze łbów pospadają.

BUZAŃSKI: Cóż wy, dziadu, macie mieć, przecież z was jest zwykły kmięć!

BIEBRZAŃSKI: Może i kmięć ze mnie, ale swój rozum mam. Powiem więcej. W żadnej inteligentnej głowie coś takiego nigdy by się nie urodziło. Otóż proponuję wam, szanowni koledzy, podjęcie zmasowanej akcji, która będzie miała za zadanie kompleksowe wykończenie mojej krainy.

BUZAŃSKI: Miałeś, chamie, czapkę z piór, chcesz by został jeno sznur?

NARWIAŃSKI: Jeśli już kogoś cytujecie, róbcie to precyzyjnie. A w ogóle nie bądźcie taki Wyspiański. Osobiście sądzę, że w pomysł kolegi Biebrzańskiego jest element ziarna pomysłu. Trzeba tylko rozpracować go i pogłębić.

DOJLICKI: Już się coś we mnie pogłębiło! Proponuję stworzenie KKWB.

BUZAŃSKI: A cóż to za diabli?

Więcej nie powiem, bo mi się jeszcze zrymuje i wszystko się popsuje. Niech kolega skrót ten rozszyfruje.

DOJLICKI: KKWB oznacza — uwaga! — KOMITET KOMPLEKSOWEGO WYKOŃCZENIA BIEBRZY!

BIEBRZAŃSKI: Hurr! Mogę zostać przewodniczącym.

NARWIAŃSKI: Stanowczo protestuję. Biebrza wpływa do Narwi, więc i ja mogę być przewodniczącym!

DOJLICKI: Koledzy, nie kłómy się o drobiazgi. W końcu Narew łączy się z Bugiem, a Bug wpada do Wisły. Wiecie, do czego mogłoby nas to doprowadzić? Kto ewentualnie mógłby przejąć władzę? Kitwaśmy się lepiej we własnym wypróbowanym gronie. Proponuję, żeby w ogóle nie było żadnego przewodniczącego.

BUZAŃSKI: A to niby dlaczego?

DOJLICKI: A to dlatego mianowicie, ciemna pała, żeby w przypadku, kiedy nam się wszystko uda, nie było tego, który zbierze wszystkie zaszczyty.

NARWIAŃSKI: Komunikuję niniejszym, że zostałem przekonany. Co nam teraz czynić wypada?

DOJLICKI: Jak to — co? Założyć bezosobowy komitet diabłów dobrej woli, które dokładnie rozpracują szczegółowy plan, wciągną do akcji odpowiednich ludzi, tłu, co mówię, diabłów, przekonają kogo trzeba, wylczą co należy, zwartościują, obrachują i wszystko podsumują. Jak z pewnością wiecie, diabli nadal budowę mleczarni w Grajewie. W tej chwili musimy czynić wszystko, żeby dopuścić do jej uruchomienia.

NARWIAŃSKI: A są w ogóle jakieś sprzeciwy? Niestety, zdaje się, że są. Sztuka będzie polegać na tym, żeby ich właśnie nie było, a jeżeli będą, to trzeba sprawić, żeby były mdłe, nijakie i gówno warle. Ponadto Komitet musi opracować szczegółowy i kompleksowy plan wykończenia. Chyba się rozumiemy. Co?

BUZAŃSKI: Już dzisiaj?

DOJLICKI: Dzisiaj to oczywiście nie. Spotkamy się w przyszłym tygodniu, w tym samym miejscu i o tej samej porze, i wtedy omówimy sobie szczegóły całej operacji.

BUZAŃSKI: Koledzy! Na dzisiaj proponuję hasło do przemyślenia:

Cztery sery, dzban maślanki, czystej wody ani szklanki! O!

WIESŁAW TOMASZEWSKI



Rysunek Jacka Urbanskiego

ORYGINALNY KSIĘŻYC

Najbardziej niezwykłym — zdaniem specjalistów — miejscem Układu Słonecznego jest jeden z czterech księżyców Jowisza — Io. Księżyc ten, wielkości Księżyca ziemskiego, posiada 9 ogromnych i bardzo czynnych wulkanów, nieustannie wypływających gorącą lawę, ogień i dym. Io jest tak dalece wulkaniczny, że w ciągu swego istnienia zdążył się przenicować na wylot, a jego powierzchnia całkowicie pokryta jest siarką.

KOSMICZNA BAZA

Pionier 11 przeleciał w pobliżu planet Saturna i Tytana. W NASA oczekiwano napływu ciekawych informacji, niestety daremnie, bowiem jeden z urzędników kosmicznego ośrodka pomylił daty ważnego spotkania w Kosmosie i źle poinformował Rosjan, kiedy powinni wstrzy-

mać się od wysyłania fal mogących zakłócić przepływ informacji.

Część prasy popołudniowej natychmiast opublikowała wiadomość: Pionier 11 odkrył na Tytanie obcą bazę! Najdziwniejsze w tym jest to, że — ktoś to wie?



Rysunek Władysława Mścichowskiego